

Wskazania na wczoraj, dziś i jutro

(Dokończenie ze str. 1-iej)

Stwierdzając więc, że powstanie zbrojne jest nieuniknione i że całkowite dojrzało, KC poleca wszystkim organizacjom partyjnym, by się tym kierowały i z tego punktu widzenia rozpatrywały i rozstrzygały wszystkie sprawy praktyczne (sprawę zjazdu Rad Obwodów Północnego, wycofania wojsk z Piotrogradu, wystąpienia do walki moskiewczan i mińszczan itd.).

18 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Towarzysze! Nie miałem jeszcze możliwości otrzymania gazet piotrogrodzkiej ze środą 18 października. Kiedy zakomunikowano mi telefonicznie całościowy tekst wystąpienia Kamieniewa i Zinowiewa w niepartyjnej gazecie „Nowaja Zyzn”, to nie chciałem temu wierzyć. Okazało się jednak, że wątpliwości są niemożliwe, i zmuszony jestem skorzystać ze sposobności, aby dostarczyć ten list członkom partii na czwartek wieczór lub piątek rano, milczenie bowiem wobec faktu tak niesłychanego łamistrąjstwa byłoby zbrodnią.

Co się tyczy tego, w jakim stanie znajduje się sprawa powstania teraz, tak blisko przed 20 października, to z oddali nie mogę sądzić, w jakiej mierze sprawa została zepsuta przez łamistrąjstwo. Nie ma wątpliwości, że wyrządzona została bardzo wielka szkoda praktyczna. W celu naprawienia tej sprawy należy przede wszystkim przywrócić jedność frontu bolszewickiego, wyrzucając łamistrąjstwo.

Cieężkie czasy. Trudne zadania. Wielka zdrada.

A jednak pomimo wszystko, zadanie będzie wykonane, robotnicy się zespola, powstanie chłopie i ostateczne zwycięstwo żołnierzy na froncie zrobią swoje! Mocniej zewrzyjmy szeregi, proletariatusi zwycięży!

24 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Towarzysze! Piszę te słowa wieczorem 24 października, sytuacja jest w najwyższym stopniu krytyczna. Rzecz jasna, jak słone, że teraz zwłoka w powstaniu już naprawdę równa się śmierci.

Wszystkimi siłami zapewniam towarzyszy, że obecnie wszystko wisi na włosku, że na porządku dziennym stoją zagadnienia, których nie rozstrzygały narady ani zjazdy (choćby to nawet były zjazdy Rad), lecz rozstrzygać ją wyłącznie ludy, masy, walka mas u zbrojonych.

Burżazyjne natarcie kornilowszczyków, usunięcie Wierchowskiego wskazuje, że czekać nie wolno. Trzeba za wszelką cenę, dziś wieczór, dziś w nocy aresztować rząd, rozbijając (pokonując, jeśli będą stawiali opór) junkrów itd.

Czekać nie wolno! Można stracić wszystko! Korzystać natychmiastowo z dobrego czasu: obrona ludu (nie zjazdu, lecz ludu, armii i chłopów przede wszystkim) przed rządem kornilowszczyków, który wypędził Wierchowskiego i zorganizował drugi spisek kornilowski.

Kto ma wziąć władzę? To w tej chwili nie ma znaczenia: niech weźmie ją Komitet Wojskowo - Rewolucyjny „lub inna instytucja”, która oświadczy, że odda władzę tylko rzeczywistym przedstawicielom interesów ludu, interesów armii (natychmiastowe zaproponowanie pokoju), interesów chłopów (ziemię wziąć trzeba natychmiast, znieść własność prywatną), interesów ludzi głodnych.

Trzeba, aby wszystkie dzelnice, wszystkie pulki, wszystkie siły zmobilizowały się natychmiast i niezwłocznie wysłały delegacje do Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego, do K. C. bolszewików, żądając bezwzględnie: w żadnym razie nie zostawiać władzy w rękach Kiereńskiego i Spółki do 25-go, w żadnym razie; zdecydować sprawę bezwarunkowo dzisiaj w wieczór lub w nocy.

Historia nie przebaczy zwłoki rewolucjonistom, którzy mogli zwyciężyć dzisiaj (i dzisiaj napewno zwyciężają), ryzykując, że jutro stracą wiele, że stracą wszystko.

Biorąc władzę dzisiaj, bierzemy ją nie przeciw Radom, lecz dla nich.

Wzięcie władzy — to sprawa powstania; jego cel polityczny wyjaśni się po wzięciu władzy. Kłeska albo formalistyką byłoby oczekiwanie na niepewne głosowanie 25-go października; lud ma prawo i obowiązek rozstrzygać takie sprawy nie głosowaniami, lecz siłą; lud ma prawo i obowiązek w krytycznych momentach rewolucji kierować swymi przedstawicielami, nawet swymi najlepszymi przedstawicielami, a nie czekać na nich.

Dowodzą to dzieje wszystkich rewolucji, i byłoby bezgraniczną zbrodnią ze strony rewolucjonistów, gdyby przeoczyli odpowiednią chwilę, wiedząc, że od nich zależy ocalenie rewolucji, zaproponowanie pokoju, ocalenie Piotrogradu, uratowanie od głodu, przekazanie ziemi chłopom.

Rząd chwyci się. Należy go dobić za wszelką cenę! Ociąganie się z powstaniem równa się śmierci.

25 października (7 listopada) padły pierwsze strzały z rewolucyjnego krądownika „Aurora”. Rewolucja rozpoczęła się.

M. Kammari

KRONIKA WIELKICH DNI

23 września 1917 r. Stalin pisał: „Cecha charakterystyczną bieżącego okresu jest przebieg nie do przebycia między rządem i masami ludowymi, — przebieg, której nie było w czasie pierwszych miesięcy rewolucji, która zaś pojawiła się w wyniku powstania kornilowskiego”.

Niektóre artykuły rozpoczynają Stalin od charakterystycznych słów: „Wydarzenia toczą się”.

Wydarzenia toczyły się szybciej niż zwykle, toczyły się zawrotnie w stosunku do pokojowego rozwoju. Klasa robotnicza Rosji w ciągu niewiele miesięcy — między lutym a październikiem — przeszła drogę kilku dziesięcioleci. W lutym oddała jeszcze władzę burżuazji — w październiku...

Do października robotnicy zrozumieli zdradę mienszewików i całą siłą udzielili poparcia bolszewikom.

1 — 2 października: Lenin pisze z Finlandii odezwę: „Do robotników, chłopów i żołnierzy”, w której wzywał lud pracujący Rosji do obalenia rządu Kiereńskiego i przejęcia całkowitej władzy przez Rady robotnicze i żołnierskie.

3 października: Komitet Centralny partii bolszewickiej postanawia wezwać Lenina do Piotrogradu.

Drugi Zjazd Floty Bałtyckiej uchwala rezolucję, domagającą się natychmiastowego usunięcia Kiereńskiego z rządu, jako awanturnika „który hańbi i gubi Wielką Rewolucję, uprawiając bezwzględny szantaż polityczny na korzyść burżuazji”.

Zebrań żołnierzy I-go Syberyjskiego pułku piechoty ogłasza rezolucję, w której domaga się przekazania całej władzy w ręce Rad.

6 października: Zjazd strzelców łotewskich XII armii w Wendenie, partii przez 5.000-ny wiec robotników i żołnierzy, powołał jednomyślnie uchwałę o zdecydowanej walce z Rządem Tymczasowym pod hasłem „Cała władza w ręce Rad”.

6 października: Zjazd VI-go korpusu piechoty zażądał natychmiastowego zwolnienia Zjazdu Rad i utworzenia władzy radzieckiej.

Konferencja Rad delegatów robotniczych i żołnierskich gubernii piotrogrodzkiej w Kronsztacie podejmują rezolucję odmawiającą rządowi

Kiereńskiego poparcia i domagającą się walki o władzę Rad.

7 października: Lenin nielegalnie przybywa z Finlandii do Piotrogradu.

8 października: Lenin pisze „Rady człowieka postronnego”, w których wytycza zadania i taktykę powstania zbrojnego.

W Ufie odbywa się demonstracja żołnierzy i robotników pod hasłem: „Cała władza w ręce Rad”.

9 października: Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich na wniosek partii bolszewickiej postanawia utworzyć Komitet Wojskowo-Rewolucyjny dla obrony Piotrogradu.

Wielotysięczny wiec robotników fabryki Obuchowskiej w Piotrogródzie uchwala rezolucję, w której domaga się obalenia Rządu Tymczasowego i utworzenia władzy Rad.

10 października: W gazecie „Raboczyj Put” (Robotnicza Droga) ukazuje się artykuł Stalina „Kontrrewolucja mobilizuje się — szykuje się do odparcia napasli”.

Na posiedzeniu Komitetu Centralnego partii bolszewickiej uchwalono, zgłoszoną przez Lenina rezolucję o rozpoczęciu w najbliższych dniach powstania zbrojnego.

11 października: Na wiecu robotników Zakładów Putilowskich uchwalono rezolucję, domagającą się przejęcia całej władzy przez Rady.

13 października: W gazecie „Raboczyj Put” ogłoszony zostaje komunikat o zorganizowaniu przy Radzie Piotrogrodzkiej oddziałów gwardii robotniczej.

Na posiedzeniu bakańskiej Rady delegatów robotniczych i żołnierskich przyjęto dymisję Komitetu Wykonawczego mienszewików i eserowców. Wybrano Tymczasowy Komitet Wykonawczy z bolszewickim Szauimianem, jako przewodniczącym.

14 października: W Mińsku do Prezydium Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich wybrani zostali wyłącznie bolszewicy.

15 października: Komitet piotrogrodzkiej partii bolszewickiej kreśli plan poczyną, mających na celu przygotowanie powstania zbrojnego.



Rysunek E. Kibrika

Pieśń Żołnierzy Rosyjskich

Zaśpiewajmy, bracia, spolem

Dziarską śpiewkę w dobry czas:

Robotników bić nie będziemy

Bo robotnik nam nie wróg!

Tylko dranie komendanci

Rozkazują nam ich bić —

Aby mundur nasz soldacki

Pohańbił taka rzeź!

Czyliś pójdziesz brat na brata —

A wieśniacy, bracia nam —

I ruskiemu żołnierzowi

Ich mordować, hańba — wstydl!

Podajemy dosłowne tłumaczenie piosenki, jaką żołnierze rosyjscy śpiewali (konspiracyjnie) w Polsce około 1905 r. Piosenka ta świadczy o panującym już wówczas duchu rewolucyjnym wśród prostych żołnierzy rosyjskich. Tekst zaczerpnęliśmy z czasopisma „Krytyka” — rok 1909 z artykułu: „Poezja więzienna” (L. S.).

PRZYJAŹŃ Z ZSRR, POMOC ZSRR, PRZYKŁAD ZSRR OTO

PODSTAWOWE ŹRÓDŁA NASZYCH ZWYCIĘSTW

Mikołaj Gribaczew

Kołchoz „Bolszewik”

(Fragmenty poematu)

Robota była co się zowie i za to łatwie żniwo lecz w zbożach jesejnego tego roku wojna jak gdyby żywa leż od pocisku, kłęby drutu, napotkasz tu przy ścieżce i czasem pocisk się rozerwie i pięknie żądło śmierci.

A choć się poci pod upałem to przecie — trudna rada — nad podręcznikiem gimnazjalnym nasz starszy sierżant siada, i gdy wykroi wolną chwilę wykruwa na egzamin: dwa pi er, tyle a tyle nie mieszaj kwasów z zasadami! A kiedy zboże w elewatorze koleją na nowy trud: harmonie odniósł do świetlicy a sam — do instytutu...

*

I nie minęło wiele czasu a zbiera się narada: na pierwszej ławie pszczelarz Akim z urzędu już zasiada, dojarka Maria koło niego — cześć przodownicy pracy! Dwaj traktorzyści — dwaj koledzy jak kubki dwa jednacy nim zbierze się przedydum do dziewcząt oko syją. A dalej jednerek! Frol z żoną Kondratiewną — Frol został inwalidą, kiedy zdobywał Berlin a dalej Klim Łuzgin!) oznaki też nie bylejakie — Stalingrad, Belgrad i Wien! A dalej kum i wujek.

*

„Do rzeczy!” — upomina Frol „A celuj w samo sedno!”

— „Można i w sedno... To jest jedno, uczucie powiem wam o co: Dobrze żyjemy, lecz nie tak, jak można by zapagnąć: jest bydlę, owszem, jest i sad, urodzaj będzie ładny, jak mi się zdaje, tego roku, ziarna zbierzemy potąd i niby — tu zezuje w Klima — za zbiory order ktoś otrzyma...

Albo na przykład co do dziewcząt, to widać jak na dłoni — nie warto tkąć i szydełkować, koronek w domu robie; nie jestem ja w tym specjalistą ale jak plon zbierzemy, to dawaj jedwab i batysty, trzewiki dawaj nam, spódnice!

Więc każdy syty i odziany, lecz tu powstaje nowy problem: jesienią burze zaśpiwają, dnia tyle, co masz za paznokciem, tuż po obiedzie mrok zapada, chcesz usiąść przy gazecie, to lampa ledwie z siedem wierszy z trudem ci oświeci, nie lampa, tylko, z przeproszeniem, kaganek oświecenia!

Co robić? Ściągasz kabat, jak susel na piec leżesz i leżysz, wściekły z nudów, aż obrzydliwość bierze!

A tam gdzie operę nadają lub wiedeńskiego walca albo inżynier mówi w radio wiechurę zgłaszając i słyszysz o uranie czy innym elemencie lub Truman jak cygani, doktryną swoją kręci — i tyś powinien reagować przeciw wojennym podżegaczom!

A tutaj nie wiesz ani słowa — dalej tak żyć się nie opłaca!

Do czego ja to? A do tego, że wstyd przytyki tolerować i chcesz czy nie chcesz, moim zdaniem potrzebna elektrownia!

A żeby rzecz wyłożyć jaśniej, jak takbym sformułował: Europa na nas cała patrzy i postęp wstyd hamować!

Tu skończył. Chwila ciszy — i wybuchają spory: — Tu, bracie, trzeba kupę forsy! — Co forsa, trza motoru! — Aha — a, i motor i kabina, pod względem tego, że turbina... — Turbina będzie, są pieniądze, ale skąd wziąć człowieka, który tę rzecz wykonać zdoła, te plany i projekta?

— A syn Kuźmina Mateusza... — Nasz starszy sierżant! — Nie sierżant, ale student, do Technikum uczęszcza! — No to piszemy: niech mu dadzą z roczek urlopu w Instytucie — to ożenimy go od rządu, z procentem dług możemy zwrócić...

Wtem głos zabiera Klim Łuzgin:*)

„Tu słyszysz śmiechki, komu śmiech można poprosić i za drzwi, a rzecz poważna. W czym tu rzecz? Trzeba się serio zastanowić, nie rzucić słów na wiatr, i ludziom nie zwracać w głowie ale obliczyć — tak i tak! Należy wezwać buchaltera, — lecz wniosku nie odrzucam:

*) Akcent na ostatniej sylabie.

*) Akcent na ostatniej sylabie.

kiedy budować, jak nie teraz, tę sprawę trzeba ruszyć! Jak nie nasz kołchoz, to sąsiedzi pospiesz się, by nas wyprzedzić!”

Kowal z kąta się odzywa: „My, kuźnia, się nie przeciwiemy, i pomożemy, obkujemy kiedy turbina już tu stanie!” Dziad — koniuch wtrąca — „Nie pozwólcie, —

i ja mam coś do powiedzenia! Jak elektrownia, to potrzeba i prądu do niej, bez węgla! To prąd się przysza, owszem, by pomóc w pracy koniom, na koniach, jak wiadomo, wszak cały kołchoz stoi!” — „Ależ wymyślił! Śmiechu warte! Te wszystkie twoje konie.

mój jeden mocny traktor przeżyje i przegoni!”

Frol wstaje: — „Słyszysz wątpliwości. A co powiedział Stalin? Naprawdę! I do Berlina Stalin nas doprowadził.

Ja, jako były szeregowiec wyłożył rzecz po prostu: naprzód na froncie przemysłowym w czołowie zwyciężaj! A co do ręki — nie ustąpię nikomu oprócz komendantów i niech dojdą mnie w robocie dwiema rękami tamci!”

Rozeszli się już po północy i miesiąc ponad wsią leciał w wysokości nieskończoną z lampką staroświecką, I aż do świtu pod urwiskiem, gdzie stała w rzeczce broda, szumiała woda, jak w przewodach wiatr szumi elektrycznych rzeka doczekała się nie mogła, kiedy jej będzie wolno połączyć godziną lecieć prądem i słonecznym być w kołchozie.

Uchwala — jutro pokosy a to — jak rozkaz do walki! Ulica do gwiazd się uniosła ostatnie tony walca.

tające w palcach rytmu: — Jak rosy ploną w trawach, jak trawy legły wszęsz

jak wonia siana gorzkawy przez koniczyne i perz leci wiatr pod miesiącem chłodzić spocznym kosiarzy;

a zaraz — dojrzeła zboże a zaraz — owsy się koszą a zaraz — sprawdzimy młótką czy plon według planu poszedł

A taniec? Nie czas na tańce przedzaj składajcie stóg! Aż utrudzony, wieczorem, sam grajek zwali się z nóg!

Upały! Zbieraj i śpiesz się nie pieść się długo snem. Niech szopa pęka od siana i trzeszczy pod ziarn brzemien'em!!

I jabłka i w kadziach miód! i len — do czuba wyrównie! ten dzień — powiadają — że rok wyżywić nas ma — a i dwa,

jeżeli kołchozny!! Gdy z płomieniem nad ramieniem (szandar wiatr za czuba wodzi) jak marszałek z pola bitwy na czas ze zwycięstwem schodzi —

Prezes nasz na pierwszej furze równy wojewodzie za nim cała karawana: tona zboża w każdym wozie!

Zboże?

Zboże — ani słowa! W ziarnie suchym i dzwoniącym złoto nam się chowa i po kłosach kołysanych krąży ciepła krew zbożowa; W zbożu sina błyska rosa, pelen dzban się deszczem pieni, tęcza z zorzą błyskotkami — kolorami się przemienia,

hojność serca i otwartość I — co jeszcze dodać warto: wódka i przekąska także znajdują się tu na okazy!

Kurz, jak ogień, bije w koła, wieją grzywy — choćby leć gależ macha rękawami: Hej, szczęśliwej drogi, jedź!

Koń spod kopyt groch wytrząsnął tępni za nim jeszcze most i powiewa groźnie nad wsią wiatrak, który w niebie został. Poza lasem, poniżej zboża chmiel zielony smaga po kłach, krzaki pędzą, co koń wyskoczy, lustra rzek się rozprysły dokoła.

Od smarów błyszczy maszynista, sieje za sobą iskry i gwiazdki, a nad przejazdem zmierzach sino świta kładąc z pokłonem na dłoń semafora blask malachitu i po całym radzieckim kraju echo niesie od gór do morza pochwałę urodzaju:

idzie zboże!

idzie zboże!

To dobra nowina.

tłum. J. Pregerówna

KONSTANTY FIEDIN

NIEZWYKŁE LATO^{*)}

tłum. ROZA CZEKAŃSKA - HEYMANOWA Rys. S. Gierowski.

W ostatnich czasach Dibicz sam, nie wiedząc dlaczego, wpadał w niezwykłe rozdrażnienie. Po wyjściu z niewoli, gdzie pod przymusem trzeba było powstrzymać w sobie i ukrywać każdy odruch własnej woli, ogarnęło go zniecierpliwienie. Wieczne przeszkody, jakie na swojej wielkiej drodze spotykał, były nazbyt częste, aczkolwiek czasem blache. Rozwścieczony z powodu jakiejś blachostki szybko się opamiętywał jak człowiek doprowadzony do ostateczności przez komary i machający beładnie reklamami, przestaje nimi machać, widząc, że to daremne.

Na ulicy od razu się uspokoił. Zajął ją zmianna, jaka nastąpiła podczas godzin, spędzonych u wojskowego komisarza. Gdy wchodził do komisarzatu, dzień był błękitny, nasycony słońcem i zapowiadał się upalnie. Teraz pod chłodnym powiewem wiatru w ogródkach kołysały się przestraszone drzewa, a nad ulicami zawisło mętne, szare jak popiół światło, jakby narzucono na nie jakąś posępą opończę. Na niebie kłębiły się chmury, czuło się, że musiała gdzieś spaść wiosenna ulewa może nawet połączona z gradem.

— Jeszcze tego brakuje, bym wpadł pod przyszcicę — pomyślał Dibicz i przyspieszył kroku nachylając głowę przeciw wiatrowi.

Po jeździ frunął papierki, słowa, zesłoneczne suche liście, okrycia naważu, — całe chmury wzmiecionych z kominiów i rynien śmieci, które z pewnością zasłabły całą ulicę, gdyby nie dobroczynny wiatr. Pod naporem wiatru wszystko trzeszczało i dzwoniło. — Jek toczył się po blaszanych dachach, ze świstem kołysały się przewody telefoniczne, trzaskaly niedomknięte drzwi i furtki. Przechodnie kryły się po bramach.

Już był niedaleko, już widział wysoki dom tonący w puszystej zieleni drzew miotających się na wietrze, gdy spoza rogu, wprost na niego runęła ukośna, jakby kędzierzawa, otwianobiała ściana wody. Z rozpadu wdarł się w tę ścianę, kierując się do bramy domu, lecz woda ogarnęła go ze wszystkich stron, zasyłała od stóp do głowy ciemnymi plamami, plamy zaczęły szybko zlewać się w coraz większe zacieki na ramionach, piersiach i kolanach i Dibicz poczuł w całym ciele orzeźwiający, kołący chłód.

Zanim dobiegł do daszka przed bramą, gdzie tłoczyła się już grupka ludzi, był przemoczony do nitki. Otrząsnawszy się patrzył jak niezliczone ciężkie krople upadły i białymi gwiazdkami rozpryskiwały się na asfalcie, jak coraz ciekawiej wylewały się z rynien pieniste strumienie, a mętne potoki pęczniając rozlewały się i spływały po pochylonych między jezdni i chodnikiem.

Przed bramą mokry szofer krzątał się koło długiego, błyszczącego „Benz” — starając się naciągnąć brezentową budę, ale samochodów zalewała woda, czarne skórzane poduszki, radiator i skrzydła wozu były już mokre i samochód wyglądał teraz jak przestraszone zwierzę zaskoczonych przez burzę w polu.

W tej chwili z głównego wejścia wszedł pod daszek niewielki, nawet krepki, mocno zbudowany mężczyzna o śniadej z lekka rosyjskiej koso-worote (koszuli) z rozpiętym kołnierzykiem. Potrząsnął trzymaną w ręku furaczką i przeciągnął gwizdnął.

— A to ci pompa! — powiedział z wyraźną uciechą. Spojrzał rzeczowo tam, gdzie powinno było znajdować się niebo, a gdzie w tej chwili kłębił się pedzony przez szkarłatny wodny chaos i Dibicz nagle ujrzał w tym bystrym spojrzeniu coś tak dumnego i żywotnego, jak gdyby ten niewielki człowieczek ani chwili nie wątpił, że jedynie od niego zależy, czy deszcz przestanie padać, czy też zacznie lać ze zdwojoną siłą. Jednocześnie Dibiczowi wydało się, że gdzieś już widział tę twarz o wystających kościach policzkowych, prostym nosie, z prostymi, zroszonymi ciemnymi brwiami. Ale nie zdążył odwieść w myśli tego przelotnego wspomnienia, ani przypatrzeć się bliżej temu może znajomemu człowiekowi, gdy ten spojrzawszy na niebo nasunął na głowę czapkę i spokojnym, może nawet umyślnie wolnym krokiem wyszedł na deszcz, podszedł do samochodu, szybko i zreźnie pomógł szoferowi naciągnąć budę, usiadł obok „sofera” i wyruszył, nieledwie popłynął rozpoczynając niby lodziami swawolnie rozchodzącą, spienioną rzeczkę. Nie wiadomo skąd wypadł nagle dwaj łamy w podartych majtkach i mokrych, przylepienych do ciała koszulinach, z wrzaskiem brnąc po wodzie pobiegli za samochodem i szybko niby chłistkie, wesołe cienie znikli za zasłoną wody.

Dibicz wszedł do gmachu. Na drugim piętrze, w pokoju mającym niespodziewanie uroczyście wygląd, zastał już z pół tuzina interesantów, a za stołem, koło drzwi z nadłamaną, mosiężną klamką krótko ostrzyżoną panienkę. Izwiłkow miał przyjechać dopiero za godzinę; zapisało się już do niego dziesięć osób i panienka bezwzględnie rzuciła im nie tracąc czasu — bo przecież wszyscy nie będą mogli być przyjęci. Ale Dibicz postawił na swoim, — został zapisany, usiadł koło innych oczekujących i z przyjemnością poczuł, że tutaj skończyła się już jego kłopoty: dobrze było mu siedzieć w wygodnym fotelu, tak ciepło było wśród tych czystych ścian, taka cisza zalegała dokoła, jakby szła w zawody z pluskiem ulewę smagającą lustrzane szyby okien. Wilgotna blaza wywolała w nim lekkie drżenie; zagłębiwszy się w fotelu musiał się od razu zdrzemnąć, gdyż nagle zobaczył samego siebie opartego o barierkę

nad dziobem parowca, a obok siebie, na samym dziobie — ogorzałego młodzieńca, który przez dłuższą chwilę kołysał w ręku zwiniętą w pierście linę, a potem z rozmachem rzucił ją na brzeg przystani; liną rozwiniętą się w powietrzu długim, długim węzłem i spadła na brzeg, a kapitan przytknąwszy usta do tuby głośno krzyknął do maszynisty: Stop! Tylny! pełny!... Wtedy zaszmiała, zabulgotała, zapieniła się woda pod kołem parowca, statek zadrażył, a pasażerowie tupiąc nogami rzucili się z górnego pokładu na dół, kapitan znów zakomenderował: stop! — i Dibicz ocknął się.



Zauważył, że czekający interesanci wstawali z krzesła, a przez pokój szybko i głośno szedł ten sam krepki, ogorzały mężczyzna z furaczką w ręku, którego widział pod daszkiem. Człowiek ten z rozmachem otworzył drzwi z mosiężną klamką i znikł, a za nim znikła ostrzyżona panienka zamykając za sobą drzwi. Dibicz zorientował się, że widocznie zasnął głęboko. Chciał zapytać interesantów chodzących niecierpliwie po pokoju, co to za jeden, ale drzwi znów się otworzyły i panienka przyglądała mu się badawczo powiedział:

— Towarzyszu Dibicz, proszę. Zaskoczony tym wezwaniem trochę się zmieształ, a panienka kiwając potakującą głową powtórzyła:

— Tak, tak, towarzyszu Izwiłkow prosi właśnie was.

Poprawił na sobie bluzę ściągając faldy w tył pod pasek, ruchem ten jak gdyby przemógł w sobie zmęczenie i wszedłszy do gabinetu stanął po wojskowemu we drzwiach. Po raz pierwszy zdarzyło mu się widzieć takiego, jak mu się zdawało, wybitnego radzieckiego działacza, w dodatku nie wojskowego i sam nie wiedział, jak się ma wobec niego zachować.

Izwiłkow stał nieruchomo przy biurku i bez zmużenia powiek patrzył badawczo spod swoich zroszonych brwi na Dibicza.

— Nazwisko wasze — Dibicz? Siadajcie, — poprosił i obszedłszy dokoła biurka usiadł pierwszy nie spuszczaając wzroku z przybyłego.

Wtem po raz drugi, teraz już z całą pewnością, Dibicz powiedział sobie, że zna tego człowieka, ale skąd — nie pamięta i skupił uwagę na jego tabaczkowo-brązowych oczach i na wianuszkach piegów rozsypanych na nasadzie nosa, co tak rzadko zdarza się u ludzi o śniadej cerze. Przez chwilę o baj przyglądał się sobie wzajemnie, dopóki Izwiłkow nie zapytał lekko rozkazującym tonem:

— Czy nie dowodziliście drugim batalionem ósmego pułku strzelców? — Tak jest. Jestem porucznikiem ósmego pułku rezerwy.

— Gdyby nie wasze nazwisko, nie poznałbym was! — powiedział Izwiłkow i ni to z wyrzutem, ni to ze współczuciem pokręcił głową.

— A ja przeciwnie, jak gdyby was poznałem, tylko nie pamiętam, gdzie was widziałem. Może na froncie?

— A Łomowa pamiętacie? Szeregowca szóstej rotę waszego batalionu?

— Łomow! — poderwał się na krześle Dibicz. — Łomow — zwiadowca!

— Jaki tam zwiadowca? A jeżeli już tak, to z waszej winy, — uśmiechnął się Izwiłkow.

W tym uśmiechu jakby zwrócił do samego siebie, uśmiechnął jednocześnie ironicznie i zmieszany Dibicz ujrzał nagle ten rys, którego było mu brak, żeby wzkręcić wspomnienie i wtedy w mgnieniu oka nie tylko poznał w Izwiłkowie swojego żołnierza, ale odnalazł w pamięci wszystko to, co w przeszłości otaczało imię Łomowa...

Było to na południowo-zachodnim froncie, podczas majowej ofensywy brusiłowskiej armii, która to ofensywa wpłynęła na załamanie się ducha austriacko-węgierskich wojsk i do dała otuchy Rosjanom budząc w nich wiarę w niewyczerpane siły narodu.

Dibicz, wówczas dowódca rot, przemarszerował z wojskiem wśród walk więcej niż dwieście wiorst. Pod koniec marszu został ciężko ranny dowódca batalionu i Dibicza odznaczono niedawno orderem św. Anny, mianowano jego zastępcą. W tym czasie na wielu odcinkach Austriacy zostali zastąpieni przez oddziały niemieckie, które pospieszyły na pomoc swemu rozbitemu i cofającemu się wódzowi paniki sojusznikowi.

Batalion Dibicza odczuł tę zmianę przeciwnika o świcie, kiedy zdobyte poprzedniego wieczoru niewielkie wzgórze zostało nagle zasypane ogniem lekkiej artylerii, której dotychczas Austriacy nie posiadali. Sztab pułku Dibicza uprzedził go, że należy oczekiwać niemieckiego przeciwnatarcia i rozkazał mu za wszelką cenę utrzymać wzgórze. Jeszcze przed

rozpoczęciem ostrzału Dibicz kazał żołnierzom okopywać się. Przebiegając pod gradem pocisków z jednego ukrycia do drugiego zlustrował dokładnie pozycję batalionu i wysłał szóstą rotę do lasu na sam szczyt wzgórza trzymając ją tam w rezerwie jako zapasową linię obrony. Na strzelaninę nie odpowiadał, lecz przygotowywał się starannie do odparcia ataku, śledząc bacznie pozycję i ogień nieprzyjaciela. Mimo to działania Niemców ograniczyły się na tym niespodziewanym artyleryjskim ogniu i następnego ranka i przez cały dzień trwała zagadkowa cisza, jak gdyby wróg oznajmiał z hukiem o swoim przybyciu, uważał, że to wystarczy.

Licząc się z możliwością nocnego natarcia Dibicz o zmierzchu wezwał do swej niedokończonych ziemianki do wódce rot, każąc im złożyć meldunki o stanie robót przy fortyfikowaniu wzgórza i zamierzając przyspieszyć ich wykonanie. Wobec oficerów czuł się nie tyle ich przełożonym, ile niedawnym równoprawnym kolegą i przyjaciół, dlatego w rozmowach z nimi prędko się zorientował, że oni, podobnie jak on sam, nie potrafili odgadnąć niejasnej taktyki przeciwnika i są tym widocznie zaniepokojeni. Wszyscy zgodzili się na to, że w tych warunkach najważniejszą rzeczą są zwiady i Dibicz postanowił, żeby wszystkie rotę, za wyjątkiem szóstą, wysłał — każda na swoim odcinku — po kilku zwiadowców mających za zadanie zbadać najbliższe pozycje wroga i nieznacznie zasięgnąć języka.

I oto zaraz po tej decyzji zatrzymawszy się przed wyjściem z ziemianki dowódca szóstej rotę — partner szachowy Dibicza i podobnie jak on, podchorąży rezerwy — zameldował mu, że ma pewien kłopot. Wraz z ostatnim uzupełnieniem szeregów został włączony do rotę pewien szeregowiec, nazwiskiem Łomow, o którym donosił mu feldfebel, że podczas postojów prowadził z żołnierzami niebezpieczne rozmowy o bezcelowości wojny dla prostego narodu. Szeregowiec ten jako poborowy przeszedł przeszkolenie w Niżnym Nowogrodzie, przedtem był kreślarszem w Sormowskiej fabryce, jest piśmienny. Ostro wdech feldfebela mówił mu, że to nie bardzo czysta sprawa.

— No więc cóż — powiedział Dibicz po chwili zastanowienia, — wyslij go na początek na zwiady — może go to nauczy rozumu. Każ go wystać w parze z którymś z doświadczonych zwiadowców.

Niepokój wywołany długotrwałą zagadkową ciszą w nocy jeszcze się spotęgował. Nad ciemną ziemią zawisły niskie chmury. W chwili wyruszenia rekonesansów mrok tak zgęstniał, że nie było można dojrzeć palców wyciągającej ręki. Po pewnym czasie na prawo od Dibicza rozległo się kilka wystrzałów, podtrzymanych natychmiast przez kulomioty. Prawie jednocześnie na lewo dała się słyszeć krótka strzelanina z ręcznej broni. Dibicz zgadywał, że ogień został wywołany przez rekonesans i podczas tej godziny oczekiwania w nieprzebranym mroku nocy wypalił więcej papierosów, niż kiedy indziej przez dobę.

Wtem wpadł do ziemianki łącznikowy meldując, że „zdołał języka” i to w dodatku Niemca. Dibicz aż podskoczył, uścił żołnierza i zawołał:

— Dawać mi go tu, a żywo! A dla tych, którym się tak udało, po parze nowych butów, albo nie! Urlop poza kolejką! A niech ich diabli! To mi zuchy!



Dopiero po wybadaniu Niemca i po odesłaniu go pod konwojem do sztabu Dibicz dowiedział się, komu należy się tak hojnie ofiarowany urlop. Okazało się, że tym szczęśliwcem był ów nowicjusz z szóstej rotę, jemu to udało się pochwycić Niemca żywcem, nikomu, tylko jemu i do tego w zupełnie wyjątkowych warunkach.

Już świtało, gdy Dibicz mógł wysłuchać Łomowa. Łomow, jeszcze cały mokry i dygotający z zimna nawet w ziemiance, stał drobny i szcuple i dziwnie było słuchać jego spokojnego, lakonicznego i jasnego meldunku i patrzeć w jego oczy, których żółtawy blask w świetle lampy zdawał się ironicznie zapalać i gasnąć.

— No cóż, — mówił Dibicz — wyprawa podwójnie udało się, bo wzięliście jeńca i przeszkodziście niemieckim szpiegom. Winszuję. To do bry poczętek.

Łomow nie nie odpowiedział. — Czy nie wiesz, jak masz odpowiedzieć?

— Staram się jak mogę, wasza Miłobódź — odpowiedział Łomow mrucząc nieznacznie oczy.

— To przynosi zaszczyt szóstej rocie.

— Nasza rota żyje zgodnie. Dziś ja — jutro kto inny.

— Miło mi to słyszeć. Ale... powiedz mi, proszę, co myślisz o wojnie? Namawiasz żołnierzy, żeby się nie bili, a sam jesteś nie od tego. Nie rozumiesz cie.

Łomow przestępował z nogi na nogę. Dibicz nie spuszczał z niego badawczych oczu.

— Czy pozwolicie mi powiedzieć? — Ależ tak, Chciałbym wiedzieć, o czym rozprawiasz z żołnierzami.

— Uważam, że wojna — to jedna sprawa, a żołnierska wierność — druga. O wojnie każdy myśli po swojemu. To zależy od jego poglądów. A nie pomóż bratu-żołnierzowi może tylko tchórz. Nie ma w tym żadnej sprzeczności.

Łomow wypowiedział te słowa z jeszcze większym spokojem, niż wtedy, gdy opowiadał o „zasięgnięciu języka” i dlatego słowa te zabrzmiały jeszcze bardziej jasno, sucho i przekonująco. Jednocześnie Dibicz zdawał sobie sprawę, że ten jego spokój nie łatwy jest do utrzymania i że Łomow kurczy się nie tyle od zimna, ile z wewnętrzznego podniecenia, a po każdym wstrząsającym nim dreszczu spokój jego jakby utrwała się i to było takie zaraźliwe, że Dibiczem również wstrząsnął dreszcz.

Wstał i nieoczekiwanie zwracając się do żołnierza per „wy” powiedział:

— Wasze poglądy nie mnie nie obchodzą. Ale powinniście zachować je dla siebie. Teraz toczy się wojna i nikt nie ma prawa jej się sprzeciwiać. W każdym razie nie wy.

Dibicz zatrzymał się. Łomow czekał w milczeniu.

— I przestańcie już przemawiać przeciw tchórzostwu w pojedynkę i za tchórzostwem całej armii, całej Rosji. Bo chociaż, by wszyscy byli przeciwni wojnie, to to samo, co chciały, by wszyscy byli tchórzami.

Łomow nadal milczał. W tym milczeniu wyczuwał się lodowaty sprzeciw i Dibicz ledwie się powstrzymał, by nie podnieść głosu:

— Nie zapominajcie, że jesteście żołnierzem.

— Tak jest, — odpowiedział Łomow po żołniersku, lecz jakoś nie zupełnie poważnie, tylko z nieuchwytnym chytrym i zawstydzonym uśmiechem.

— Cóż to za odpowiedź — tak jest? Przecież mówię z wami jak z człowiekiem! Czy nie zgadzacie się ze mną? Więc według was ta wojna jest niepotrzebna? Więc krew naszą przelewamy nadaremnie, tak?

— Czy wolno mi powiedzieć, co myślę?

— Proszę, mówcie! — Uważam, że przyznanie się do błędu jest odwagą, nie tchórzostwem. A czym jest wojna, jeśli nie błędem?

— Dobrze, — powiedział Dibicz zaplanowawszy nad sobą. — Moim obowiązkiem jako oficera i dowódcy było uprzedzić was. Zaniechajcie już w rocie rozmów na ten temat. I pamiętajcie, że sąd wojenny zwykły przemawiać innym językiem, niż w tej chwili ja mówię z wami. Możecie odejść.

Dibicz zapomniał o tym dziwnym szeregowcu szóstej rotę i o myślach, jakie w nim obudził, — chwila nie była odpowiednia do rozmyślań o rzeczach blawych, gdyż przed wschodem słońca Niemcy ruszyli do ataku. Po dwóch dniach walki odciegi batalion od pulku, otoczyli wzgórze i nie przestawali artyleryjskiego ognia, dopóki ranny Dibicz nie dostał się do niewoli. Szóstą rotę do ostatka walczyli na szczyście wzgórza, broniąc swojej linii, która z zapasowej stała się przednią linią...

W obecnej chwili w gabinecie Kiriła Izwiłkowa Dibicz widział w pamięci spojrzenie drobnego żołnierza, który pozostał przy swoim zdaniu. Izwiłkow starał się ukryć wesołość, ironiczne ogniki zapalające się w oczach, lecz widział, że to niemożliwe i czuł się trochę zmieszany.

— Więc aż tutaj zagnął was los? — powiedział Dibicz.

— Jaki tam los! Myśmy do tego dążyli.

— Do czego? Czy do porażki? — zapytał z gorczy, lecz trochę niepewnie Dibicz.

— Do porażki carskiej armii. Żeby teraz dążyć do zwycięstwa armii robotników i chłopów.

Dibicz zauważył, że uśmiech Izwiłkowa nagle znikł i po chwili milczenia powiedział, jak gdyby chcąc zmienić temat rozmowy:

— Wasza szóstą rota była się dzielnie.

— Tak, — potrząsnął głową Izwiłkow, — dzielnie, ale bezowocnie.

— Niestety, to samo można powiedzieć o całej wojnie.

— Tak uważacie? — zawołał Izwiłkow opierając się łokciami na biurku. — Mylicie się! Dzięki tej wojnie naród nasz znalazł drogę do swojej przyszłości. Czy według was to bezowocne?

— Przecież sami powiedzieliście, że wasza rota była się bezowocnie.

— Tak, przegrała bitwę. Ale część rotę ocalała, wy o tym nie wiecie, bo wam się nie powiedziało, dostaliście się do niewoli. A ci, którzy ocalałi, utworzyli teraz nową armię. Armia ta walczy obecnie o to, co nie było celem w tamtej wojnie i nie mogło być osiągnięte, ale o to, co naród uświadomił sobie teraz — że walczy o swoje wyzwolenie.

— Rozumiem — wzruszył leciutko ramionami Dibicz, — Łomow przegrał wojnę, a wygrał ja Izwiłkow.

Izwiłkow uśmiechnął się, lecz natychmiast zgasił uśmiech i nawet podskoczył, znalazłszy to, co należało powiedzieć:

— Właśnie! Widzę, że wam się zdaje, że to, co działa się na wojnie,

Malarstwo radzieckie



S. Gierasimow — „Komsomolec”



G. Riazki — prze wodniczącą kołchozu

to jedno, a to, co się dzieje obecnie, to zupełnie coś innego. Ale mylicie się! Naród, który był wówczas tam, istnieje także teraz. Jego życie zmieniło się, ale trwa nadal.

— A więc kim jesteście obecnie? — Łomowem czy Izwiłkowem? — nie ukrywając ironii, lecz ze szczerem zdziwieniem zapytał Dibicz.

— A czyż jest w tym jaka różnica? — Ażby otwarcie uśmiechnął się Izwiłkow.

— Mam wrażenie, jakbyśmy prowadzili dalekie rozmowy, jaką zaczęliśmy w mojej ziemiance przed trzema laty, — powiedział Dibicz. — Tylko, żeśmy się zamienili na miejsca. Prawda? — Uchwyciwszy palcami przemiętą bluzę odcignął ją od ciała i zatrząsał się. — Zdaje mi się nawet, że jestem teraz równie moki, jak wy byliście wtedy.

— Ja także przemokłem, — odpowiedział Izwiłkow dotykając swego ramienia. Jesteśmy więc w podobnym położeniu. Ale mówmy poważnie. Powiadacie, żeśmy się zamienili na miejsca. Ale wszak mogliście zająć takie same miejsce jak ja, a nawet moje miejsce. Oczywiście, jeżeli podzieliście moje poglądy.

— Nie mam teraz czasu myśleć o poglądach, — mruknął Dibicz. Wyjął z kieszeni kartkę napisaną przez Zubiniego i podał ją Izwiłkowowi.

— Czy macie rodzinę w Chwałyńsku? — zapytał Izwiłkow przeczytawszy kartkę.

— Tak — matkę i siostrę. Nie widziałem ich już od pięciu lat.

— To długo. Ja nie widziałem swojej matki dziewięć lat, zobaczyliśmy się dopiero teraz. Jestem tutaj, z Saratowa — powiedział jakoś ciepło i poufnie Izwiłkow. — To też rozumieć was i postaram się wam pomóc. Dam wam pozwolenie na przejazd statkiem. Jedźcie. — Ujął za pióro, ale zatrzymał się przez chwilę i zamyślił.

— Zobaczcie się ze swoimi. Odpocznijcie. Ale wszystko jedno, czy tam w Chwałyńsku, czy tutaj, w Saratowie, będziecie musieli odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zamieniliśmy się na miejsca czy nie.

— Przez trzy lata nie byłem w Rosji, — jak gdyby uporał się ze skrupułami odpowiedział Dibicz. — Wszystkie jest tu dla mnie takie nowe. Nie poznaję dawnych ludzi.

— Ale znacie armię. Żołnierze was lubią. Przyjrzyjcie się czerwonoarmiejcom. To wam dużo wyjaśni i do niejednej sprawy zbliży.

— Nie można tak od razu. Zarówno moje poglądy, jak i Czerwona Armia...

— Jak to od razu? — zaśmiał się Izwiłkow. — Jak długo jesteście już w Rosji? Miesiąc? Ale teraz każdy dzień, co ja mówię, nawet każda godzina warta jest więcej niż miesiąc! To rewolucja, towarzyszu Dibicz! Jest się nad czym zastanawiać!

— Nie mam się czym zastanawiać — powiedział zdławionym głosem Dibicz. — Nie mam już mózgu! Rozumieć? Zjadłem go. Buraki mi nie wystarczyły, musiałem na dokładkę spożywać własny mózg! Przez dwa lata dokładałem własny mózg do niemieckich buraków! Żeby nie przemienić się w bydlę, żeby nie postradać zmysłów, żeby żyć! Po to, żeby żyć, odżywiłem swój organizm resztkami mojego mózgu, swoich nerwów! Te oto kości, tę oto skórę...

Zaczęła szczytać skórę na rękę i odcigać tę cienką, woskową skórę od napięcia. Jego spojrzenie stało się mętne, czło jakby jeszcze bardziej uwypukliło się i pokryło się potem.

— Czy wam niedobrze? — zawołał Izwiłkow zrywając się z krzesła i obiegając dokoła biurka.

Ale Dibicz już pochylał głowę, z dziwnie płynną lekkością zsunął się z krzesła i jak dziecko upadł na podłogę.

Izwiłkow z łatwością podniósł go i położył na kanapie. Podbiegł do drzwi, ostrożnie je otworzył i powiedział szepem do natychmiast panienki:

— Doktor! Natychmiast! Do mojego gabinetu!

*) Fragment powieści, która ukaże się niebawem nakładem wydawnictwa „Książka i Wiedza”.

TADEUSZ ORLEWICZ

DROGI BUDOWY USTROJU KOŁCHOZOWEGO

7 listopada w nocy II Ogólnorosyjski zjazd Rad rozpoczął swoje obrady. Rodziła się era Wielkiej Rewolucji Październikowej i „Republika Rad Delegatów Robotniczych, Parobczeskich i Chłopskich w całym kraju od dołu do góry” jak zapowiadał Lenin w swoich tezach kwietniowych.

Rewolucja Październikowa dokonana przez klasę robotniczą w sojuszu z biedotą chłopską dała władzę w ręce ludu. Robotnicy i szerokie masy pracującego chłopstwa stali się w Związku Radzieckim gospodarzami fabryk, ziemi i wszystkich bogactw olbrzymiego kraju, obejmującego jedną szóstą naszego globu ziemskiego.

Zjazd obwiescił przejście całej władzy w ręce Rad, uchwalił dekret o pokoju, dekret o ziemi, wybrał wreszcie pierwszy robotniczo-chłopski rząd na świecie — Radę Komisarzy Ludowych z Leninem jako przewodniczącym i Stalinem, komisarzem do spraw narodowości, na czele.

Uchwalony bezwzględnie dekret o ziemi zniósł wszelką obszarniczą własność ziemi bez odszkodowania. Ziemia uległa nacjonalizacji, stała się własnością ogólnonarodową i oddana została pracującemu chłopstwu w wieczne władanie.

Przed Rewolucją kilkanaście tysięcy rodzin obszarniczych trzymało w rękach ponad 70 milionów dziesięcin najlepszej ziemi, a więc tyle ile przypadało ziemi najgorzej na 10 milionów zagrod chłopskich. Na każdego obszarnika przypadało przeciętnie po 2.300 dziesięcin, na każdą zagrodę chłopską, włączając również zagrody bogatych chłopów — przeciętnie po 7 dziesięcin, przy czym 5 milionów drobnych zagrod chłopskich, czyli połowa całego chłopstwa, posiadała nie więcej niż 1 — 2 dziesięciny ziemi na zagrodę. Małorolny chłop rosyjski skarżył się, że na jego działce „nie ma nawet gdzie kury wypędzić”, a góral kaukaski mówił: „cała moja ziemia zmieści się pod oponę”. Pisząc na ten temat w roku 1912 Lenin konkludował: „Fakty te dowodzą w sposób oczywisty, że źródło nędzy i głodu chłopskiego tkwi w wielkiej obszarniczej własności, w przeżytkach pańszczyzny, od których chłopstwo może się uwolnić jedynie w drodze rewolucji, kierowanej przez klasę robotniczą”. Rewolucja przyniosła chłopom 150 milionów dziesięcin nowej ziemi, która przedtem była w rękach cara i jego rodziny, obszarników, burżuazji i cerkwi. Chłopi bezrolni otrzymali nadziały gruntów rolnych, małorolnym uzupełniono ich liliupicie działki.

Przed Rewolucją chłopi, uciskani i gniebieni przez rządy obszarniczo — kapitalistyczne, wyzykali się przez bogaczy i spekulantów wiejskich, płacili rocznie około 500 milionów rubli w złości obszarnikom z tytułu czynszów dzierżawnych. Rewolucja zniósła wyzysk obszarniczy, zwolniła całkowicie chłopów od płacenia tego milionowego haraczu.

Przed Rewolucją kapitalizm w rolnictwie i gospodarce towarowej rozwarstwiały klasowo chłopstwo, tworząc grupę kułacką, związaną klasowymi interesami z ciemiężcami ludu pracującego miast i wsi, grupę bogaczącą się na wyzysku podstawowych mas chłopskich. Grupa średniaków w rozwijającej się na wsi sprzeczności interesów klasowych najczęściej w wyniku obszarniczej i kułackiej taktyki klasowej uzupełniała szeregi biedoty chłopskiej. O sytuacji tej biedoty mówił Lenin w następujących słowach: „chłop został doprowadzony do stopnia życiowej zębaka. Mieszkał wpróż, z bydlęciem, nosił nędzną odzież, odżywał się lebio-

da... Chłopi głodowali chronicznie i dziesiątkami tysięcy umierali z głodu i epidemii podczas nieurodzajów, które powtarzały się coraz częściej”. Rewolucja przyniosła nacjonalizację ziemi, dając państwu i chłopom bezpośrednie możliwości przejścia do wyższych form gospodarki rolnej, zapewniając wzrost produkcji i podniesienie poziomu życia chłopów. Oczywiście nacjonalizacja ziemi nie mogła z natury rzeczy zlikwidować od razu, przeciętnie noża, źródła zaostrzającej się walki klasowej na wsi. Jednak dobrodziejstwa tego historycznego dekretu wkrótce stały się widoczne. Przed Rewolucją 65 proc. gospodarstw chłopskich należało do biedoty, 20 proc. — do średniaków, 15 proc. — do bogaczy wiejskich. W roku 1928 ilość gospodarstw małorolnych spadła do 35 proc., średniacy zamiast 20 proc. reprezentowali około 61 proc. gospodarstw; ilość gospodarstw kułackich spadła natomiast do 4 proc. W ciężkich porolucyjnych walkach klasowych władza radziecka przy stałym poparcu biedoty wiejskiej prowadziła politykę ograniczania i rugowania kapitalistycznych elementów na wsi, kułaków, spekulantów, lichwiarzy. Komitety biedoty odegrały dużą rolę w roku 1918 w walce z kułactwem; one pomagały w nowym podziale skonfiskowanej ziemi, w podziale inwentarza żywego, w ściąganiu przez państwo ukrywanych przez kułaków nadwyżek żywności. Komitety te były dalszym etapem w rozwijaniu rewolucji socjalistycznej. One też przyczyniły się w początkach wojny domowej do zmiany nastrojów wśród chłopstwa, rozgarniając kułaków; wieś radziecka pod wpływem dekretu o ziemi stawała się coraz bardziej wsią średniacką. Wahający się średniak już w latach wojny domowej przybliżył się do władzy radzieckiej. VIII zjazd partii przeszedł od polityki neutralizacji średniaka do trwałego z nim sojuszu, rozszerzając front ludu pracującego wsi przeciwko kułakom.

Ciężkie nastąpiły lata dla gospodarki radzieckiej po rozgromieniu w wojnie domowej białogwardystów i interwentów międzynarodowych. Produkcja rolna w roku 1920 nie przekraczała połowy produkcji przedwojennej. Wiele okregów nawiedziły nieurodzaje. Biedniak i średniak pomagali władzy radzieckiej w wojnie domowej, walcząc o to, aby nie wrócił obszarnik, aby nie wrócił wyzysk. „W ogniu wojny domowej powstał i utrwalił się wojenno-polityczny sojusz klasy robotniczej i chłopstwa. Sojusz ten opierał się na określonej podstawie: chłop otrzymywał od władzy radzieckiej ziemię i obronę przed obszarnikiem, przed kułakiem, robotnicy zaś otrzymywali od chłopów żywność w drodze ściągania nadwyżek żywnościowych. Obecnie podstawa ta już nie wystarcza”. (Historia WKP(b), str. 282).

Partia rozumiała, że były obiektywne przyczyny do niezadowolenia wśród chłopów, przystąpiono też do opracowywania nowych linii w dziedzinie budownictwa gospodarczego. Ta nowa linia — to był tzw. NEP — nowa polityka gospodarcza, obliczona na „wycięstwo elementów socjalistycznych nad kapitalistycznymi, na założenie fundamentów socjalistycznej ekonomiki” (Stalin). Już po roku można było stwierdzić, że kraj przechodził pomysłnie przez okres odbudowy, że sojusz robotniczo-chłopski został na nowej podstawie wzmocniony, że po zniesieniu systemu repartycji żywnościowych chłopi — średniacy podjęli znowu zdecydowaną walkę u boku władzy radzieckiej przeciwko bandom kułackim. Zlikwidowano skutki nieurodzaju, a rolnictwo

szybko poczęło posuwać się naprzód. W ostatnim w swoim życiu przemówieniu Lenin w listopadzie 1922 roku wyraził głębokie przekonanie, że „Rosja nepowska stanie się Rosją socjalistyczną”.

Lenin umarł, ale jego dzieło podjął Stalin i poprowadził Kraj Rad do budowy socjalizmu. Na odcinku rolnictwa okres odbudowy ożywił rolnictwo, kraj otrzymał c.d. rolnictwa potrzebne surowce i produkty. W przemysłowym okresie odbudowy polegał na tym, aby wprawić w ruch i odbudować istniejące fabryki. Ale przemysł miał do dyspozycji stare fabryki z przestarzałymi urządzeniami, brakowało fabryk budowy maszyn, przemysł był przeważnie przemysłem lekkim. Trzeba było więc przyjąć linię socjalistycznego uprzemysłowienia kraju, zbudować przemysł ciężki i przemysł produkcji maszyn. Interesy socjalizmu na wsi wymagały budowy fabryk traktorów, maszyn rolniczych, nowoczesnych i w dużych ilościach.

Sukcesy socjalistycznego uprzemysłowienia nie dały na siebie długo czekać. Wielki przemysł socjalistyczny w ciągu 1927 roku, a więc w pierwszym roku po zakończeniu odbudowy kraju, dał 18 proc. przyrostu produkcji w porównaniu z rokiem 1926. Sektor socjalistyczny przemysłu wzrósł w swoim ciężarze gatunkowym do 86 proc. w roku 1927, wypierając zdecydowanie sektor prywatny. Przemysł zaczął rozwijać się szybko. Inaczej rzecz się jednak miała z rolnictwem.

Choć w zestawieniu produkcji ogólnej rolnictwo osiągnęło na tym odcinku poziom przedwojenny, to jednak gospodarka zbożowa dawała w sumie 91 proc. produkcji z roku 1913, a ta część produkcji zboża, która służyła do zaopatrzenia miast, osiągała zaledwie 37 proc. poziomu przedwojennego, przy czym „wszystkie dane świadczą o tym, że istnieje niebezpieczeństwo dalszego spadku towarowej produkcji zboża”.

W grudniu 1927 r. Stalin omawiając na XV Zjeździe partii zagadnienie rolnictwa wyraźnie określił drogę wyjścia z sytuacji, w jakiej znalazło się rolnictwo radzieckie. Drogą tą jest przejście „od drobnych i rozproszonych gospodarstw chłopskich do wielkich i zjednoczonych gospodarstw o społecznej uprawie ziemi, w przejściu do kolektywnej uprawy ziemi na podstawie nowej wyższej techniki. Wyjście polega na tym, by drobne gospodarstwa chłopskie stopniowo lecz nieugięte, nie w drodze przymusu lecz za pomocą przykładu i przekonywania jednoczyć w wielkie gospodarstwa o społecznej, kolektywnej uprawie ziemi, z zastosowaniem maszyn i traktorów oraz naukowych metod intensyfikacji rolnictwa. Innego wyjścia nie ma”.

Pierwsza pięciolatka stalinowska postawiła sobie dumne zadanie stworzenia w kraju takiego przemysłu, który by zdołał zreorganizować na bazie socjalistycznej nie tylko przemysł ale i rolnictwo. Socjalistyczne współzawodnictwo pracy i entuzjazm budowy nowego ładu ogarnął chłopstwo organizujące kołchozy. Masy chłopskie zaczęły wyraźnie skłaniać się ku gospodarce kolektywnej. Już w roku 1928 obszar obsiany przez kołchozy gruntów wynosił 1,4 mil. ha, w roku następnym potroił się, a w roku 1930 objął powierzchnię 15 mil. ha. Rok 1929 był rokiem wielkiego przełomu i początkiem masowego ruchu kołchozowego. Do kołchozów ruszyły nie tylko biedniaki ale i średniaki. W ten sposób dojrzało wreszcie zagadnienie zlikwidowania kułactwa jako klasy. Jeszcze w roku 1927 kułacy produkowali 600 mil. pudów zboża, dając w tym 130 mil. pudów zboża towarowego, czyli czterokrotnie więcej niż sowchozy i kołchozy. Już jednak w roku 1930 kołchozy i sowchozy, dzięki poparciu władzy radzieckiej, wyposażeniu ich w traktory i maszyny rolnicze, dały przeszło 400 milionów pudów zboża towarowego, czyli trzykrotnie więcej, niż dawali bogacie wiejskie w roku 1927.

Kułacy w kołchozach widzieli — zresztą zupełnie słusznie — złamanie ich przewagi nad biedniakami i średniakami, przekreślenie dalszej możliwości bogacenia się ich kosztem. Sabotowali sprzedaż nadwyżek zbożowych, stosowali terror wobec kołchoźników, mordowali działaczy partyjnych na wsi, podpalali kołchozy lub państwowe magazyny zbożowe.

Władza radziecka w tych warunkach mogła i musiała przejść do polityki ograniczania kułactwa, do polityki likwidacji kułactwa, jako klasy na podstawie powszechnej kolektywizacji. W końcu 1929 r. kułactwo zostało wyłączone, a kułackie środki produkcji przeszły w ręce zrzeszonych w kołchozach chłopów. Likwidacja kułactwa odznaczała zniszczenie ostatniego bastionu wyzysku kapitalistycznego, ostatniej nadziei światowej burżuazji na przywrócenie kapitalizmu w ZSRR. Władza radziecka podjęła niepodzielnie budowę socjalistycznej gospodarki rolnej. Ruch kołchozowy rozwijał się z potężną siłą. W roku 1940 było w ZSRR 250.000 kołchozów o łącznej powierzchni 488 milionów ha to znaczy, że chłopi radzieccy otrzymali trzy razy

więcej ziemi niż mieli razem biedniacy i średniacy w carskiej Rosji.

Pięciolatki stalinowskie przeprowadziły rewolucję techniczną na wsi radzieckiej. W roku 1940 w kołchozach i sowchozach pracowało 683.000 traktorów, 197.000 kombajnów i 228.000 maszyn ciężarowych. Te traktory i te maszyny w latach przełomu dokonały wg. słów Stalina rolę pocisków, rozsadzających stary świat burżuazyjny i ścielących drogę nowemu, socjalistycznemu ustrojowi wsi. W ramach powojennej pięciolatki nowe setki tysięcy traktorów, kombajnów, siewników, kultywatorów itp. pójdzie w służbę rolnictwa.

W mechanizacji produkcji rolnej decydującą rolę odegrały stacje maszynowo-traktorowe tzw. M.T.S. Mimo ogromnych zniszczeń dokonanych przez hitlerowców, w pierwszych miesiącach br. w rolnictwie radzieckim pracowało 7813 MTS, a więc o 12 proc. więcej niż w roku 1940. Żaden inny kraj na świecie nie posiada tak wysokiego stopnia mechanizacji gospodarstwa rolnego, jaki osiągnięto w Związku Radzieckim. Nie ma tam właściwie takiej galezi gospodarstwa wiejskiego, gdzie nie stosowanoby szeroko nowych maszyn. Dzięki pracy MTS kołchozy zaoszczędziły ogromną liczbę siły roboczej. Nowa, potężna technika pośpieszyła na pomoc chłopu i zmieniła radykalnie na lepsze jego warunki pracy.

Wraz z techniką stanęła do współpracy nauka radziecka, która dzięki osiągnięciom Mieczurina, Lysenki, Dokuczajewa, Williaucza zmienia geograficzne rozmieszczenie kultur, wzmacnia wydajność, prowadzi ludzkość do rzeczywistego opanowania siły przyrody. Ludzie radzieccy wiążą ściśle teorię z praktyką, stale i nieustępliwie walczą o takie przeobrażenie przyrody, aby mogła jak najwydatniej służyć człowiekowi, pamiętając bowiem wygłoszone przez Mieczurina zdanie — hasło: „Nie możemy czekać łaski od przyrody, naszym zadaniem jest żądać od niej”.

Dzięki nauce i technice, dzięki współzawodnictwu pracy rośnie produkcja i wydajność pracy w kołchozach. Już przed wojną w ciągu trzynastu zaledwie lat produkcja towarowa zbóż wzrosła więcej niż trzykrotnie, bawełny — pięciokrotnie, lnu i buraka cukrowego — dwukrotnie. Wydajność pracy w porównaniu z jej wydajnością w gospodarstwach indywidualnych wzrosła trzykrotnie a w kołchozach produkujących — pięciokrotnie.

Rośnie i olbrzymie w rolnictwie socjalistyczne współzawodnictwo pracy. Tysiące kołchoźników otrzymuje za wyniki swej pracy najwyższe odznaczenia państwowe. Nieustanny rozwój gospodarki kołchozowej, wzrost zamożności kołchoźników stwarza olbrzymie możliwości dla rozwoju kulturalnego życia wsi radzieckiej. Kołchoźnicy budują swe domy na wzór mieszkań miejskich, dbając o to, aby dom rodzinny był przestronny, jasny i czysty. Na wsi powstają kluby, kina, biblioteki, punkty opieki nad dzieckiem. Nie ma dziś na wsi radzieckiej analfabetów. Na wsi realizuje się powszechne nauczanie siedmioletnie. Biblioteka, książka, gazeta dociera do chłopów powszechnie. Jednocześnie została udośćpioną ludności wiejskiej pełna możliwość dalszego kształcenia się. Rośnie nowa inteligencja wiejska.

Wzrost dobrobytu w kołchozach wzmacnia znakomicie zapotrzebowanie na artykuły przemysłu lekkiego, które były dotychczas na wsi unikatem. Kołchoźnik lepiej je, dostatek ubiera się, jego potrzeby obejmują już dzisiaj powszechnie nie tylko rower, ale i aparat fotograficzny, żelazko elektryczne do prasowania, radioaparat, a nie rzadko i samochód.

Setki tysięcy agronomów, mierzniczych, zootechników, setki tysięcy kierowników brygad traktorowych, polowych, hodowlanych — to coraz sprawniejsze i coraz liczniejsze kadry nowej twórczej inteligencji technicznej.

Na szereg lat przed Rewolucją Październikową Lenin przewidywał, że nadejdzie czas, gdy po zwycięstwie klasy robotniczej skarby kultury i sztuki będą „dostępne dla całego narodu, by unicestwić to oderwanie od kultury milionów ludności wiejskiej, które Marks nazwał idiotyzmem życia wiejskiego”. W kraju Rad i w jego wsiach spełnia się proroczy słowo Lenina. Dzięki władzy radzieckiej, dzięki ustrojowi kołchozowemu życie na wsi ZSRR idzie nieustannie ku najwyższym formom, zaciera się szybko granica pomiędzy miastem i wsią, likwidowane są pomiędzy miastem i wsią przeciwieństwa, które pogłębiał ustroj kapitalistyczny w interesie klas posiadających, a wbrew interesom podstawowych mas ludu pracującego miast i wsi.

Tadeusz Orlewicz

SPROSTOWANIE

W 44 nr. „Wsi” do artykułu Leonarda Sobierajskiego: „O dzisiejszą recepcję „Chłopów” Reymonta — wkraśl się błąd korektorski. W spalcie 6 zamiast: „Jak wiemy hasło to podjęli tacy mężowie z ramienia narodowej demokracji jak Władysław Grabski” — winno być: jak Stanisław Grabski.

Z malarstwa rosyjskiego

II-ej połowy XIX wieku



A. Stepanow — Sprzedaż krowy (mal. 1889)



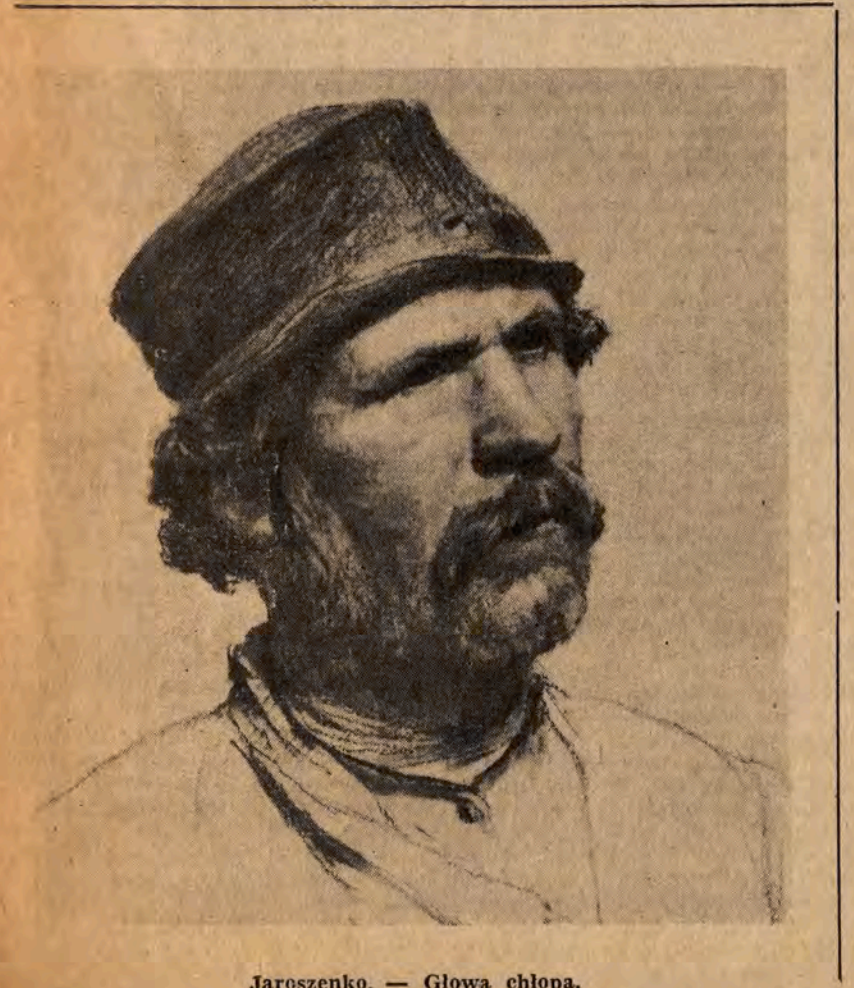
S. Koronin — Przyjacielska pogawrocka mal. (1880)



S. Koronin — Po prośbie (mal. 1896)



J. Repin — Aresztowanie rewolucjonisty (mal. 1878)



Jaroszenko. — Głowa chłopca.

EDMUND NIZIURSKI

RADZIECKA POWIEŚĆ Z FRONTU PRACY

1. ZMIERZCH ODYSSEI

Od początku swego istnienia literatura zajmowała się problemem „powrotu z wojny do domu”. Po Iliadzie następowała przecież Odysseja. Nie trudno u Homera dopatrzeć się jakby symbolicznego przedstawienia trudności „odnalezienia się” żołnierza w ojczyźnie.

Motyw powrotu z wojny podjęli i pisarze radzieckiej w takich powieściach jak: „Wiosna w Sakenie” Gulii, „Kawaler Złotej Gwiazdy” Babajewskiego, „Z całego serca” Malcewa. Wypadnie zauważyć, że motyw ten w powieściach radzieckich służy jednak za punkt wyjścia do zupełnie innego zagadnienia, jakim jest praca w służbie socjalizmu.

Motyw powrotu z wojny w powieści radzieckiej brzmi optymistycznie. Powrót „ludzi prawdziwych” z „Okopów Stalingradu”, z „Dni i Nocy”, z „Szosy Wołokotamskiej” — z „Wojny na tyłach wroga” to powrót do ludzi o czystym sumieniu — o promienionych zwycięstwem i poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku — to powrót nie do obojętnej ojczyzny, nie na niepewny los, nie na głód i tułaczkę — lecz do oczekującego ich warsztatu pracy, do realizacji najświeższych zadań, do budownictwa socjalizmu.

Droga powrotu żołnierza radzieckiego jest najkrótsza. Wiedzie prosto do domu. Powieść radziecka zerwa z problemem Odyssei.

Dla człowieka radzieckiego nie istniał problem, co robić po wojnie, nie istniał problem bezrobocia. Dlatego jeszcze na froncie żołnierze radzieccy mogli realnie zastanawiać się nad swoimi zadaniami po powrocie do domu — bez popadania w fantastykę i niedorzeczne marzenia.

Dlatego, gdy Sakeńczyk Kesou myślał w okopach, jak Skale Miłosierdzia zamienić na Skale Urodzajności, czyli innymi słowy jak zużytkować naturalne fosforyty sakeńskie do użytku państwa, gdy Kubańczyk Sergiusz Tutarinow marzył w czołgu o budowie elektrowni w stolicy Ust-Niewińskiej, to nie były to rojenia w rodzaju szklanych domów, jakie snuł także powracający do Ojczyzny Baryka z „Przedwiośnia” a jakie nachodzą ludzi nekanych nostalgii, lecz realne pomysły, które miały wszelkie dane, żeby się urzeczywistniły. Taka jest moc socjalizmu.

2. BOHATEROWIE NA NOWYCH PLACÓWKACH

Nie jest przypadkiem, lecz właśnie uchwycenie zjawiska typowego, że powracający z wojny żołnierze wyróżniają się dodatnio w pracy na każdej placówce gospodarczej, że obejmowali kierowniczą rolę w gospodarce radzieckiej.

Kesou Mirba z „Wiosny w Sakenie” zostaje brygadierem w kółchozie i inicjatorem oraz realizatorem wielkiego planu podniesienia pięciokrotnie wydajności gleby w drodze starannej uprawy, a zwłaszcza wykorzystania naturalnego nawozu mineralnego zawartego w Skale Miłosierdzia.

Sergiusz Tutarinow, „Kawaler Złotej Gwiazdy” obejmuje stanowisko przewodniczącego rejonowego komitetu wykonawczego, opracowuje 5-letni plan gospodarczy stacji Ust-Niewińskiej i umożliwia jego wykonanie.

Ten stosunek zdemobilizowanych do pracy pojmujemy łatwo, gdy uprzytomimy sobie, że żołnierze radzieccy traktowali stanowisko w pracy na równi z placówką bojową, że potrafili walczyć o produkcję w ten sam sposób, jak walczyli o zwycięstwo nad Niemcami. Był to dla niego nowy i nie mniej ważny front. „Wojnę skończyliśmy, więc co teraz? Rece założę i czekać? A ktoś z nas nie marzył na wojnie o tej chwili, gdy będziemy mogli zakasać rękawy i zacząć budować. A przede wszystkim trzeba budować elektrownię!” — mówi Sergiusz do ojca.

Powracający z wojny żołnierze byli człowiekiem na „stalingradzka miarę”. Na froncie przyzwyczaili się pokonywać wszelkie, zdawałoby się nadludzkie trudności i przeszkody. Nauczyli się aktywności, wytrwałości, dyscypliny i organizacji. Pojają, że żadna zdobycz nie wpada w ręce sama, że trzeba ją wypracować.

Tak jak pięciolatki stalinowskie wychowały dobrego żołnierza, tak z kolei wojna ojeźdzająca wychowała bohatera pracy.

„Pokonał w tej wojnie straszny wroga, zadiwilił świat cały, czyż nie mamy rady z ziemią, choćby nawet z ziemią sakeńską?” — mówi Kesou Mirba — i określa tymi słowami stanowisko żołnierza radzieckiego, który wygrawyszy wojnę zbrojną wziął się z równym poświęceniem i bohaterstwem do walki o produkcję, o odbudowę i rozbudowę.

3. „GDZIE SŁOWO „CZŁOWIEK” BRZMI ZWYCIĘSKO”

Radziecka powieść o pracy w służbie socjalizmu przynosi potwierdzenie tezy, że tylko w ustroju socjalistycznym jednostka ludzka ma zapewniony pełny rozwój i możliwość realizacji swych zadań.

Popatrzymy na bohaterów omawia-

nych powieści. Są to ludzie prości. Nie dysponują osobiście ani środkami materialnymi, ani wpływem, ani władzą, a jednak zdemobilizowany chłop Kesou Mirba ma możliwość zrewolucjonizowania stosunków rolnych w swojej miejscowości i kilkakrotnie powiększenia plonów, a inny chłop Tutarinow — urzędnik — pięcioletniego planu gospodarczego kubańskiej stacji.

Obaj wprowadzają wielkie zmiany w życiu tysięcy ludzi.

Czy byłoby to możliwe w społeczeństwie kapitalistycznym? Kim by tam był i co mógłby zdziałać zdemobilizowany żołnierz?

Wolność i rozwój indywidualności w państwie burżuazyjnym jest fikcją, z której naigrywają się wtałajemniczeni. Wolność i możliwość przejawienia indywidualności — tak, ale tylko dla tej znikomej części społeczeństwa, która posiada „złoty bilet”.

Może realizować swe pomysły i zasłużyć na miano „dobroczynicy ludzkości” Rockefeller — lecz większość takich przejawów indywidualności zmierza do osobistych zysków kosztem tych, których na „indywidualność” nie stać.

W Związku Radzieckim celem jednostki jest dobro ogółu. Jednostka wybitna spełnia rolę katalizatora poczynając mas, organizując ich w sposób masowy. Zebrań członków kółchozu to szkoła rządzenia wspólnym dobrem. Zwykli, prości ludzie zabierają głos w sprawach państwowych, planują, decydują, urządzają sami swoje życie.

Pokazanie tych stron życia kółchozu należy do najcenniejszych kart książki Babajewskiego.

Podobnie jak w powieściach wo-

jennych zainteresowanie autorów skupiło się na małych lecz na najtrudniejszych pozycjach wysuniętych jednostek bojowych i na najgorętszych odcinkach frontu, tak i powieści o socjalistycznej pracy obejmują odcinki gospodarcze najtrudniejsze, te gdzie toczy się najcięższa bitwa o produkcję, a więc bądź gospodarstwo dotychczas zacofane, bądź zniszczone przez okupanta. Dlatego tematem powieści „Górnicy” jest odbudowa kopalni w Zagłębiu Donieckim. W powieści H. Leberekta p. t. „Światła w Koordii” zorganizowani chłopcy estońscy wspólnym wysiłkiem osuszają Węzowe bagno. Pracę nad zwiększeniem plonów rolniczych pokazuje powieść E. Malcewa „Z całego serca”. Powieść „Wiosna w Sakenie” przenosi nas do zapadłej miejscowości kaukaskiej, do niedostępnego Salenu. — Babajewski w „Kawalerze Złotej Gwiazdy” ukazuje znowu wysiłek nad podniesieniem gospodarczym kółchozów kubańskich.

Ten wybór jest słuszny. Socjalistyczny marsz naprzód najlepiej odcinić od strony osiągnięć placówek zacofanych lub zniszczonych przez wroga. Tam na tyłach przebiega front najoporniejszy, najtrudniejszy walki o postęp — o produkcję.

Tam najwyraźniej uwypukla się charakter człowieka radzieckiego. Inżynier Sajenko w powieści „Górnicy” mówi do Nikity znanąjącego go z pracą w kopalni. „Tutaj szybko rosną ludzie. Dlaczego? Dlatego, że w sztolni człowiek stoi twarzą w twarz z przyrodą, ściera się z nią w pojedynku, tutaj jest mu łatwiej pokazać co jest wart. Przyroda zawsze się opiera, a w szybach pocyna sobie ciotryce, stara się zabić człowieka z drogi, oszukać, odurzyć go gazami. Człowiek słaby duchem traci nieraz głowę, opuszcza ręce, ale górnik o silnej woli i sprytny, szybko odgadywa jej intrzygi, bierze ją śmiertelnym chwytem... łamie ją miazdzą, ujamnia... tutaj słowo „człowiek” brzmi tak zwycięsko, jak nigdzie”.

Gdzie leży źródło tej siły, która przetrwała człowiekowi to zwycięskie brzmienie? Co nadaje prawdziwy wydźwięk słowom Górnika. „Człowiek to brzmi dumnie”?

W jaki sposób człowiek radziecki dokonuje gigantycznych dzieł, takich jak odbudowa 2.500 km rozrywanych sztywów w kopalniach do nieckich jak wypompowanie 650 milionów m³ wody — osuszenie olbrzymich bagien estońskich. Co pozwala ludziom radzieckim w zapadłych kółchozach Kubyńsk realizować budowę elektrowni, domu połączniczego, biura, czytelnia, laboratorium agrotechnicznego, budynków gospodarczych, zwiększać kilkakrotnie plony — jak to widzimy w tych wziętych z życia powieściach: „Górnicy”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, „Wiosna w Sakenie”, „Światła w Koordii”.

Źródło zwycięstw człowieka radzieckiego leży w możliwościach jakie daje ustroj socjalistyczny. Nie tylko dlatego, że ustroj ten przynosi planową gospodarkę, organizację i racjonalizację pracy, że stawia do dyspozycji całego społeczeństwa wszystkie bogactwa i zasoby państwowe — ale przede wszystkim dlatego, że w warunkach socjalistycznych praca nabiera innego nowego sensu, że wytwarza się nowy stosunek do pracy.

Człowiek pracujący nie czuje się już najemnikiem, martwą siłą roboczą, zrównaną z maszyną i na równi z nią włączoną przez przedsięwzięcie do bilansu na równi z nią

wyrzucaną na szmelc, gdy stanie się niepotrzebna. Między robotnikiem a maszyną, między chłopem a ziemią nie stoi już „ten trzeci” — kapitalista i obszarnek.

Ludzie radzieccy czują się prawdziwymi gospodarzami ziemi, zdobywcami przyrody — jak pisze Kuszelew.

Dysponując środkami technicznymi i naukowymi, ustawicznie usprawniają metody pracy. Praca przestaje być zlem koniecznym do zarobienia na życie, stała się potrzebą, najpiękniejszym sposobem wyrażenia własnej wartości, odznaczenia się, zdobycia rangi społecznej — stała się źródłem radości jaką przynosi pełne wykorzystanie dla dobra społecznego swych zdolności i możliwości.

Stąd zapał, umiłowanie pracy, wynalazczość i pomysłowość, wiara w człowieka.

4. „RAZEM Z NIMI JEST CAŁY KRAJ...”

Człowiek radziecki w swym wysiłku gospodarczym w realizowaniu twórczych planów znajduje opiekę i pomoc partii.

Oto obraz literacki o wielkim wyrazie artystycznym: Młody górnik kaukaski Kesou Mirba pięć dni wędruje do agronoma rejonowego, przebywając drogę pełną niebezpieczeństw. Na plecach ma worek ziemniaków. Jest to próba pokonania „Skali Miłosierdzia”, naturalny fosforyt, który może oddać nieocenione usługi przy uprawie ziemi sakeńskiej.

Lecz w rejonie panoszy się biurokracja. Agronom nie chce w ogóle rozmawiać z Kesou tłumacząc się brakiem czasu.

Co robi Kesou? Czy będzie bezskutecznie przeklinać biurokrację, czy zrezygnuje z pomysłu wykorzystania Skali Miłosierdzia? Nie, Kesou wie gdzie szukać pomocy. Kesou zwrócił się do rejonowego komitetu partii. I nie odepisał z niczym. Partia będzie czuwać za Sakenem otrzymać maszynę do mielenia skały i zamienienia jej na wartościowy nawóz.

JULIAN FUCIK

O LATACH I BARWACH

Rok 1913. Carska Rosja. Pod względem zacofania w rolnictwie — kraj zajmujący pierwsze miejsce w świecie. Pod Rostowem szerokie, bezkresne stepy. Zawsze się je tak nazywało. Szerokie. Bezkręcone. Don snuje się cicho wśród niskich brzo- gów jak strużka z przewróconego kieliszka po równym stole.

Rok 1913. Carski przemysł ma dobrą koniunkturę. Fabryki idą pełną parą. Warsztaty wytwarzające maszynę rolniczą — również. Pan Antonow Pietuchin, obszarnek o skłonnościach do romantyzmu, wchodzi na dworzec. Pociąg rusza. Ciężkie ciało kołysze się na pluszowej kanapce. Moskwa niknie w perspektywie torów. Pan Antonow Pietuchin, obszarnek, po raz drugi w swym majątku. Pierwszy swój pobyt — był wtedy małym dzieckiem — słabo pamięta.

W Moskwie krążyły wieści o epidemii szkarlatyny. Wywieźli go daleko do majątku. Pamięta: przykra samotność. Teraz jedzie po raz drugi: uroczysty moment uroczystego wydania. Mój Boże, a jednak tylko romantyzm! Na jego polu pracuje kosiarka. Prawdziwa kosiarka, maszyna, on kocha maszynę, nowoczesni poeci odkryli w nich wiele piękna, zamówił ją aż w Niemczech. Kosiarkę. Zorzę żółtą, zieloną i czerwoną. Zachwycający obraz. Powieści nawet noc, żeby ją widzieć jeszcze rano, bowiem ranek wydobywa czyste i ostre tony. Bryczka toczy się ku prowin- cjonalnej stacji. Pociąg odjeżdża. Szyby się rozbiegają. Moskwa. Pan Antonow Pietuchin opowiada. Między herbatą, pierożkami a winem — zorza żółta, zielona, czerwona. Goście zachwycają się: Rzeczywiście u- rzekający obraz! Dlaczego pan, Antonowie Serapionowicz, nie pisze wierszy? Stary stryj wyraża obawę: Żeby tylko, duszo ty moja, Antonowie Serapionowicz, nie przyszło z tego jakieś zło! Goście uśmiechają się tak-ownie. Antonow Pietuchin kłania się.

Rok 1913. Carska statystyka głosi wielki rozwój. W ciągu tego roku, mówi, państwo nasze dojrzało do nowoczesnej uprawy roli. 826 fabryk pracuje dla naszych gospodarstw rolnych. Sprawdzamy maszynę z Niemiec, Austro-Węgier, a nawet z Ameryki. Wynosi to, wynosi to, tak, ogółem 110 milionów rubli. Za 110 milionów rubli wyprodukowaliśmy i sprowadziliśmy maszyn rolniczych w tym roku. Sto dziesięć milionów.

Rok 1914. Wojna. 1915. Wojna. 1916. Wojna. 1917. Rewolucja.

Dziewięćset osiemnaście, dziewięć- naście, dwadzieścia. Rok 1927. Związek Radziecki. Pod Rostowem szerki bezkresny step. Nie wymyślisz innego obrazu. Szeroki. Bezkręcony. Wśród niskich brzo-

gów, wskazując się w nie, cicho snuje się Don. Rok 1927. Czerwiec. Przy stacji Naczerwani-Dońskaja na stepie pod Rostowem osiemdziesięciu robotników kopie fundamenty. — Na co to, towarzysze, na cóż to? — Fabryka będzie. — Patrzcie, fabryka! A po co? — Kosiarki potrzebujesz, obywatelu, pluga maszynowego, siewnika, taka to będzie fabryka. — Nie, obywatelu, protestuję, nie- czego mi nie trzeba, siwek ciągnie, co mi po maszynie, śmieszki paskudztwo. Za kilkanaście dni pojawił się w radzieckich gazetach projekt nowej fabryki: „Selsko - chojaziłstwennoe maszynostrojnie”, w skrócie: Selmaszstroj.

Projektodawcy liczyli się z poglądem rogorczyckiego rolnika. Fabryka będzie wyrabiała plugi, żniwiarki i siewniki do konińskiego zaprzęgu, wozy drabiniaste i osobowe, wyroby jej będą dostępne dla każdego małego i średniego gospodarza, taka to będzie fabryka. I co roku sama jedna, w przeciwnym razie do 826 starych wytwórni, wyprodukują maszyn rolniczych za 37 milionów rubli.

Rok 1927. Selmaszstroj w Rostowie nad Donem. Naczytasz się o nim, pi- szą o nim we wszystkich gazetach, w rosterskim „Molocie” i w „Lenin- gradzkiej Prawdzie”, o jego zadani- ach, preliminarzu i dlatego właśnie w Rostowie nad Donem.

Fabryka maszyn rolniczych. Trze- ba będzie wiele drzewa. A niedaleko są bogate lasy Kubania. Trzeba będzie żelaza i węgla. Z bliska, z północy wysłał Zagłębie Donieckie swoje pociągi. Trzeba będzie prądu elektrycznego. Bliski Artiemidz już pracuje.

Stąd rozchodzą się linie kolejowe i szosy na wszystkie strony świata, to jest morze, Don i przysięż kanał Wołga — Don, który łączy za jed- nym zamachem Samara z Rostowem. Na maszynę czeka południowa U- kraina, Czarna Ziemia, Kubań, Za- kaukazie. Rostów jest ich sercem. Sercem przyszłego kraju kółchozów. Kółchozy — tymczasem, zdaje się, marzenie, ale są w planie. Rostów także jest w planie: siedziba Sel- maszstroju.

Rok 1928. Pod Rostowem platanina drzewa, trawersów, dymu lokomoty- w, pływów betonów, huk wiertar- ki, żuraw i młotów i tysięcy ruchów dziesięciu tysięcy robotników.

— No, obywatelu, będzie fabryka? — Będzie, obywatelu. — Kiedy, pytamże was, czy nie- zdaje się wam, że pracujecie za wol- no? Czekamy, czekamy ja, Matwiej Trifonowicz czeka, gdzie czeka. O- biecywaliście plugi, siwek czeka. A- bony? Gdzieś są, proszę ja was, oby- watelu? — Towarzysze, — mówi na- rade- dzie kierownik Selmaszstroju, — pierwotny projekt już nie wystarczy. Trzeba go przerobić. Rozszerzyć pro-

zrozumienie i pomoc w wykona- niu planu pięcioletniego stacji- znajdzie w partii również Tutarin- now.

We wszystkich powieściach ra- dzieckich spotykamy ten motyw kierowniczej roli i opieki partii w wielkim dziele odbudowy i rozbudo- wy gospodarki Z.S.R.R.

Uwolnione od klas wyzyskujących społeczeństwo radzieckie stało się niezłomnym monolitem. W powieści radzieckiej nie znajdziemy już ba- nalnego konfliktu między starą a młodą generacją.

Istnieją różnice zdań lecz szybko zostają likwidowane.

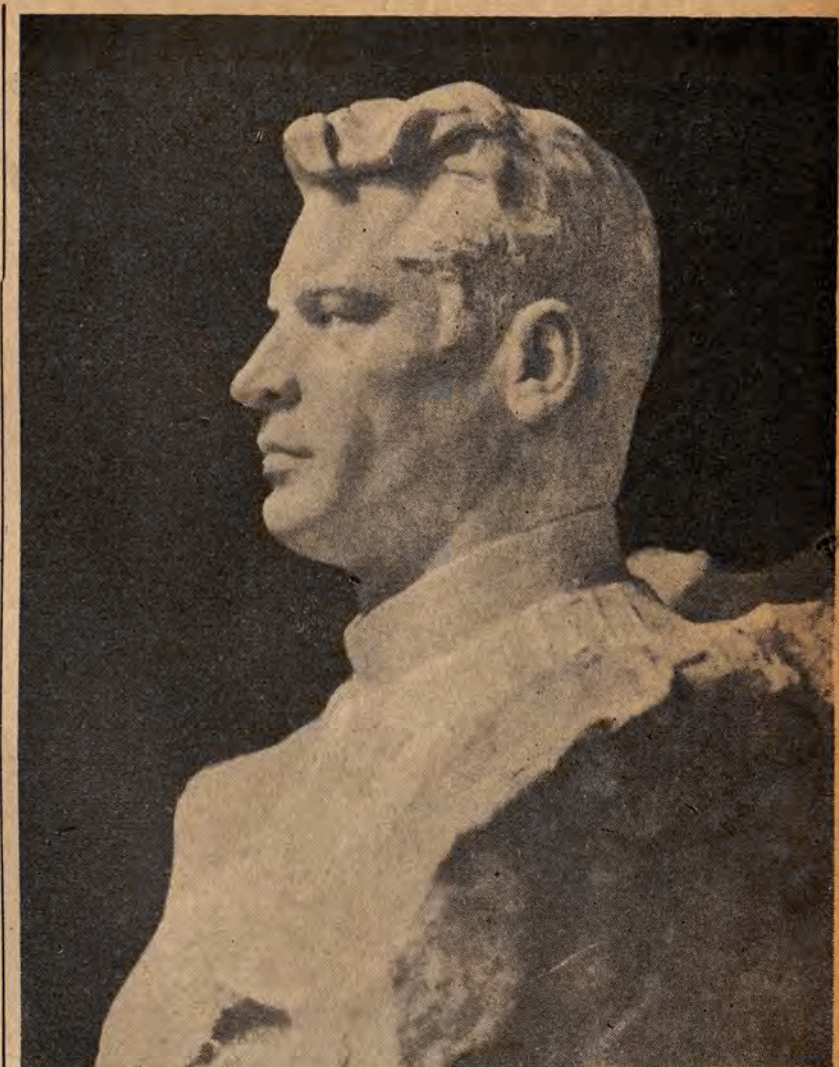
— Skoro warto zaczynać, zaczy- najcie. Młodzi zaczynają, starzy pomo- ga... — mówi do Sergiusza jego oj- ciec Timofiej Iljicz Tutarinow i w tych słowach zamyka się synteza stosunków między starym a mło- dym pokoleniem.

Pomoc, starego pokolenia jest cen- na. Prochor Nienaszew cieśla i fili- sak w powieści „Kawaler Złotej Gwiazdy” organizuje spław 16 wa- gonów drzewa. Starzy górnicy eme- ryci na prośbę Sajenki z powieści „Górnicy” przystępują do pracy, swo- je doświadczenie, radę i pomoc od- dadzą sprawie odbudowy.

Rozkwit najdalszych zakątków kraju i szybki postęp w odbudowie możliwy jest także dzięki duchowi łączności, który przenika cały Zwią-zek Radziecki. Niedostępne orle- gniazdo górskie — Saken nie jest oddzielone od Związku Radzieckiego.

„Wydaje się niektórym, że życie w oderwaniu od wszystkich. Nie- prawda! Razem z wami jest cały kraj. Nie jesteście sami! Duch bol- szewicki przenika wszędzie, przez wszystkie góry, przełęcz i rzeki. Spójrzcie — Aleksander Iwanowicz prowadzi górala do mapy. — Oto Związek Radziecki. Wielkie, silne państwo. Wy jesteście jego czę- stą. Życie i pracujecie tak jakbyście żyli i pracowali w Moskwie ra- zem ze Stalinem”.

Kiedy Sajenko z powieści „Gór- nicy” opowiada jak sprostał gigan-



N. Tomski — Portret dwukrotnego bohatera ZSRR A. S. Swirnowa

tycznym zadaniem odbudowy kopal- ni to akcentuje znaczenie człowieka w produkcji.

„Mam swoją metodę, zaczynam zawsze od ludzi, od nich zależy wszystko”.

Wszystkie radzieckie powieści u- mieściły najważniejszy akcent na znaczeniu człowieka w produkcji. Stąd powieść radziecka uderza swym głębokim, socjalistycznym humaniz- mem.

Z każdej karty powieści widać głęboką wiarę w człowieka. Kiedy przeglądamy np. galerię postaci z powieści Babajewskiego, Malcewa, Igiszewa wiemy mocno, że tacy ludzie jak Sergiusz, Semion, Kesou, Irunia i Sajenko zwyciężą wszystkie

przeszkody i postawią na swoim, wierzymy, że z pracy takich jak oni wyrasta wielkość i potęgą Z.S.R.R.

Ze radzieckiej powieści udało się tę wiarę w czytelnika wzbudzić — to jej czołowe osiągnięcie, a dla nas przykład.

E. NIZIURSKI

Bibliografia:

S. Babajewski — „Kawaler Złotej Gwiazdy”.
G. Gulia — „Wiosna w Sakenie”.
W. Igiszew — „Górnicy”.
H. Leberekt — „Światła w Koordii”.
A. Sakse — „Wzwyż”.
E. Malcew — „Z całego serca”.

dukcję. Zmienić plany. Zaprojekto- wać nowe typy.

Pierwsze oznaki kolektywizacji wyciskają swe znamiona na planach. Na wielkie pola kółchozów trzeba będzie również traktorowych plugów i żniwiarek. Przeprowadza się zmiany od podstaw. Przy pierwszych zabudo- waniach wyrastają nowe oddziały. Plan produkcji rocznej nie odpowia- da zapotrzebowaniu. Nie za trzydzie- ści siedem lecz za pięćdziesiąt pięć milionów rubli rocznie będzie produ- kował nowy Selmasz. Do końca pla- nu pięcioletniego musi być gotowy: 1932—1933.

Rok 1929. Pod Rostowem z powłoki rusztowań wyłania się miasto. Z pierwszych kółchozów wyłania się powszechna kolektywizacja. Deputa- cie kółchozników pozdrawiają swoją fabrykę i kryptykują. To za mało. Sel- masz nam nie wystarczy. Jego typy nam nie wystarczają. Produkcja od- dawna nie wystarcza. Tempo budo- wy dawno nie wystarcza. Pięcioletka w ciągu czterech lat — nie wystar- cza!

Projekt przepracowano po raz dru- gi. Potem po raz trzeci. Młodzi inży- nierowie prowadzą generalny atak przeciw rozwiązaniu sprawy przez starych. Precz z inwentarzem na kon- ny zaprzęg! Plug konny leży skulony w kącie. W Selmaszstroju parady- dumnie typy traktorowe. Żniwiarki i siewniki, kultywatory i brony zgła- szają się na kółchozne pola: nie po- trzeba koni, potrzeba traktorów.

Rok 1930. Styczeń. Wydaje się, że Selmaszstroj już jest gotów. Kilka- naście małych oddziałów rozpoczęło już produkcję. Fabryka staje się po- dobna do pięknej dziewczyny, ale pro- jekt przechodzi jeszcze ostateczne zmiany. Kółchozy rosną jak burza. Jest to zwycięstwo, jakiego plan nie mógł przewidzieć. Ale Selmaszowi nie wolno posiwieć, zanim się jeszcze na- rodzi. Co przed rokiem było fantazją, dziś jest koniecznością. W czasie ru- chu fabryki — jak na pasie transmi- syjnym w biegu — przerzucają pro- jektodawcy cyfry i plany. Najbar- dziej niebezpieczna praca. Wetkniesz palec — a stracisz rękę. Naciśniesz nieprawidłową dźwignię — a znisz- czysz maszynę.

Amerykańscy inżynierowie w Sta- lingradzie zasłyszeli o przedsięwzię- ciu swych radzieckich kolegów i sta- wiają nad nimi krzyżyk: — Fabryka nie jest z gumy. Nie naciśniesz jej. Jeśli idzie o materiał — prawda. Ale myśli się.

Rok 1930. Styczeń. Wreszcie pro- jekt definitywny. Selmaszstroj z bez- względnie przewagą inwentarza tra- ktorowego. Musi być gotów do wiosny 1931. Produkcja roczna: 115 milio- nów rubli.

Projekt ostateczny: 100.000 czterorzędowych plugów traktorowych; 40.000 żniwiarek traktorowych; 30.000 dwudziestoczworzędników siewników;

62.500 przyczepek traktorowych; 30.000 kosiarzek traw; 10.000 bron sprężynowych; 100.000 grabiarek; 100.000 wozów ciągarowych; 12.000 ton części zapasowych. Ogółem za 115 milionów rubli rocz- nie.

To znaczy dziennie: sześćdziesiąt wagonów materiałów wjeżdża jedną bramą do fabryki, sto wagonów goto- wych wyrobow wyjeżdża z fabryki drugą bramą.

Ogółem za 115 milionów rubli rocz- nie.

Pana Antonowa Pietuchina, byłego właściciela ziemskiego, znajdziemy w Berlinie. Przy Oranienstrasse w okoli- cy Moritzplatzu w gospodzie stara- wej i trzeciorzędnej, grywa wieczo- rem w bilard. Jego romantyczna du- sza była bardzo przeziorna. Do sze- snastego roku uważała za korzystne interesy wojenne. Potem uznała za bezpieczny tylko bank szwajcarski. Poda wam wizytówkę. Po rosyjsku i po francusku. Stwierdzić, że obec- nie jest prywatną inicjatywą. Stali goście napomkną nowicjuszowi w za- ufań, że jest on także handlarzem podobnych rzeczy i że bilard w obecności nieznanymi daje mu nat- chnienie do opowieści o kosiarkach.

Robi to tak: Przyjdzie, rozejrzy się szybko poprzez dym wstrętnych cy- gar, dostrzeższy nową twarz, wpa- rzy się tragicznym wzrokiem w bi- lard: zielone sukno, kula żółta i czer- wona. Kosiarka.

Usłyszeliście opowieść o cudownych barwach tej maszyny i o jej okrut- nym losie.

— Bolszewicy, panie, zniszczyli, rozbili, roznieśli w pył. Kosiarkę i świętą Rosję. Zatrzymali nasz roz- wój...

Prawdopodobnie i wam pokaże peł- nym gracji ruchem ręki i z lekkim ukłonem zetnął wytnieł starej sta- tystyki o industrializacji carskiego rolnictwa z roku 1913: 826 wytwórni maszyn rolniczych z roczną produk- cją za siedemdziesiąt milionów rubli; import maszyn rolniczych za cze- rdzieści milionów rubli. Ogółem 110 milionów.

Zniszczyli, — zapłacze ukazując wilgotny język — bolszewicy znisz- czyli kosiarkę i świętą Rosję...

— Nie mówcie mi tego, co ja mu po- wiedziałem. Zirykował się.

Powiedziałem mu: — Nie wiem nic o pańskiej kosiar- ce. Może zniszczyli, może nie znisz- czyli. Ale statystyka, szanowny Anto- nowie Serapionowicz, jest przeciw- panu. Postawili w Rostowie fabrykę. Wła. Ona jedna — da więcej niż waszych osiemset dwadzieścia sześć, szanowny Antonowie Serapionowicz, nawet wraz z importem...

— Nie mówcie mi tego. Zirykował się.

Przekład H. Gruszczyńskiej-Dubowej

Maciej Koliba

Nie zacierać problemu teatru amatorskiego

Z zainteresowaniem zacząłem przeglądać artykuł Tadeusza Byrskiego, drukowany w 43 nr. „Odrodzenia”. W sprawie rogatek (kulturalnych między wsią i miastem) — prosi o głos praktyk światłocowy, organizator amatorskiego teatru dzieciennego i bodajże kierownik jednego z uniwersytetów ludowych (za to ostatnie nie ręczę). Sprawa jest frapująca. Na ile Byrski, organizator kulturalny „terenu”, mający duże doświadczenie, posunął naprzód zagadnienie upowszechnienia kultury teatralnej, bo ten problem przede wszystkim go interesuje. Uczniowie lektury artykułu rozbudziła jednak we mnie poważny niepokój. Muszę tu pominąć cały szereg błędnych sformułowań autora w rodzaju: „Nasza wieś przeszła kryzys (?) kończących się dawnymi autoritetami, dworami i plebaniami”. Twierdzić, że wieś wyzoliła się dzisiaj całkowicie spod wpływu plebanii, gdy stanowi ona nadal najsilniejszą na wsi resztówkę kapitalistycznej ideologii — jest co najmniej nieostrożnością, jest zakrywaniem ocy na największe gniazdo oporu przy każdej robocie kulturalnej na wsi. Pominąć również niestaszne — dla prawidłowego dziś postawienia zagadnienia upowszechnienia kultury — powołanie się przez Byrskiego na wypowiedź z „Młodego Pokolenia Chłopów”: „Widzę i czuję kolo siebie te skarby kultury i sztuki, ale nie mam kluczyka, którym mógłbym to wszystko otworzyć”. Bo przecież wówczas młody pamiętnikarz zgłasza swoją tęsknotę do tej kultury, jaką dla siebie preparowała klasa panująca, nieostrożność pragnął wejść w kulturę burżuazyjną — uwoził go wzór mieszczańskiego konsumenta kultury.

Te mimochodem zrobione przeze mnie zastrzeżenia odsłaniają i rzucają światło na ujęcie przez Byrskiego zagadnienia podstawowego, mianowicie FUNKCJI I ZNACZENIA TEATRU AMATORSKIEGO. Byrski wyraźnie poplątał tu sprawę błędnie rozumiejąc funkcję kultury w dzisiejszym ustroju. Zapomniał on, że kultura społeczeństwa, które jest „na drodze do socjalizmu” jest kulturą wynikającą z walki — i o percepcji dawnych treści kulturowych i w tworzeniu nowych wartości, że nie jest to tylko suma dóbr do

„wymakowania”, która przecież należy się także wsiom, osiedlom i miasteczkom. Chłop czy robotnik jest dzisiaj zainteresowany kulturą jako jej konsument, ale nie zapomina, że ten nowy konsument kultury jest budowniczym nowego ustroju. Z tych właśnie względów chłop i robotnik pragnie brać udział w tworzeniu takiej kultury, która im w budowie tego ustroju pomaga.

Mamy dzisiaj teatry zawodowe i teatry amatorskie. Stoimy na stanowisku, że i jedno i drugie muszą grać sztuki ideologicznie poprawne i artystycznie udane. Twierdzimy, że zespoły światłocowe już poprzez samą robotę warsztatową nad sztuką — poszerzają swoją świadomość kulturalną, oddziaływując tym samym korzystnie na swoje szersze środowisko. Pełna udatność wystawienia sztuki — jakkolwiek jest zagadnieniem ważnym o rozwiązanie którego się dzisiaj bijemy — nie jest dla dzisiejszego teatru amatorskiego momentem rozstrzygającym.

Sprawa dla nas jest jasna. Trószczyśmy się dzisiaj o kadry kierowników zespołów światłocowych, fabrycznych i wiejskich, opracowywujemy repertuar, który w wielu pozycjach jest zbliżony (poprzez adaptacje) z repertuarem teatrów zawodowych. I to jest chyba najistotniejszy moment dla usunięcia rogatek kulturalnych między wsią i miastem. Byrski tego nie dostrzega. Byrski, zwycięzca naszych publicystów, rozpoczyna sprawę od początku — proponuje nową formę teatru — TEATR POWSZECHNY. Mówi o nim: „musi to być w dobrym rozumieniu OMNI-BUS, instytucja, która zestrzeli w sobie wszystkie rodzaje artystycznego oddziaływania. Życie LITERACKIE, OŚWIATOWE, MUZYCZNE, ROZRYWKOWE, może się zmieszczyć w teatrze — domu kultury”. Czyż trzeba było aż nowego terminu, aby podciągnąć pod niego te wszystkie funkcje, jakie dzisiaj już spełnia światlica fabryczna czy wiejska. Chyba, że Byrski uważa, że dyskusje nad problemem organizacji kultury polegają na wyszukaniu coraz to nowych nazw. A przecież ten okres u nas się już skończył. Zagadnienie można już i należy traktować merytorycznie.

Byrski w swoim zapale, „żywił” w jego organizatorze” pomieszał zupełnie zagadnienie teatru amatorskiego, prowincjonalnego (jak w Kaliszu, Świdnicy, Rzeszowie czy Białymstoku) i objazdowego. Godzimy się oczywista z tym, że ważna jest funkcja teatru objazdowego, ale nie wypieramy nim teatru amatorskiego, bo to są dwie różne sprawy. Teatr objazdowy jako jedna z form działalności teatru prowincjonalnego, gdy dotrze do powiatowego miasta czy nawet wsi (raz czy dwa razy do roku) nie jest w stanie spełniać tu jakiejś określonej, ciągłej akcji kulturalno-wychowawczej. Jego zadanie jest inne, mobilizuje on zainteresowanie środowiska dla teatru w ogóle, dla lokalnych zespołów amatorskich jest wzorem poprawnej gry, dla nich właśnie może być szkołą, doradcą, patronem. Dlatego w zdziwienie wprowadza mnie sformułowanie Byrskiego, że „Teatr prowincjonalny ma jeszcze inne zadanie. Tworzywo przekazywane z centrum musi być rozprzeczane, musi docierać do WIDZA WIEJSKIEGO (podkreślenie nasze — M. K.) w postaci widowiska niespełnionej artystycznie”. Stąd autor wysuwa konieczność OBJAZDOWOŚCI i to z nienagannym wyposażeniem technicznym, bo przecież według niego ZESPÓŁ WYSTĘPUJĄCY NA WSI MUSI BYĆ NIE GORSZY niż w stolicy. Jest to fantazyjne postawienie sprawy, świadczące o tym, że w rozumowaniu autora wkradło się za dużo propagandowej przez niego „zapalczywości”, wypierającej niestety poczucie rozsądku. O takim toku rozumowania zdecydowała „teoria kultury” jako przedmiotu do „wymakowania”. Nie jest dobrze, gdy zapal przeradza się

w demagogię, choćby dyskutantem kierowały najlepsze intencje, nie wątpimy, że Byrski je ma. Rezultaty wtedy są zgola nieoczekiwane, w wypadku naszego dyskutanta — absolutnie błędne rozumienie funkcji — TEATRU AMATORSKIEGO.

Ukoronowaniem tego błędnego stosunku do teatru amatorskiego jest następujące sformułowanie autora: „Z teatrem amatorskim jest tak jak ze sztuką ludową. TRACI ON SWOJĄ SPECYFIKĘ (podkreślenie nasze) w orbicie aby wyrażać ingerencję profesjonalizmu. JEJ CECHA CHARAKTERYSTYCZNA I NAJCENNIJSZA JEST — SAMORODNOŚĆ” (podkreślenie nasze — M. K.) Nec plus ultra! Oto najbardziej klasyczna w burżuazyjnym stylu rogatka kulturalna między wsią i miastem, mająca zresztą swoje świetne tradycje. Pozostawmy więc własnemu rozwojowi, zróbmy z niej rezerwat, bo tylko wtedy „możemy się do niej zwracać jak do ożywczego źródła, które nas zasilą, jeżeli wyczuwamy zastój w teatrze zawodowym”. Nad tym zdaniem unosi się duch Popławskiego i Witkiewicza. Pasowałoby ono znakomicie na szpaltach „Głosu” przed 60 laty, gdy właśnie ideologiem burżuazyjnym zależało wówczas na samorodnym tylko rozwoju wsi, ale że dzisiaj straszy ono czytelnika ze szpalt czołowego literackiego organu — pozostaje nam tylko wyrazić nasze ubolewanie. Na szczęście nie stawiamy dziś na samorodność i żywiołowość w kulturze. Cienimy sobie natomiast fakt, że procesami kulturalnymi w dzisiejszej Polsce kieruje się świadomie tak wobec miasta jak i wsi.

Maciej Koliba

J. RUDZKI

W OCZACH AMERYKANINA*)

Nie trzeba wyjeżdżać wcale na Festiwal do Budapesztu, ażeby wiedzieć, co myśli młody Belg o swych amerykańskich opiekunach.

Ale na wystawie młodzieżowego Festiwalu, który właśnie odbył się w stolicy Węgier każdemu z nas długo

utkwili w pamięci barwny fotomontaż z belgijskiego stoiska: amerykańskie luksusy — elegancki wóz marki „Cadillac”, butelka „znakomitego” napoju coca-cola, papierosy Chesterfielda roznegliżowana grzyba na tle czerwonej krzywej, która wznosząc się ku górze oznacza liczbę młodych bezrobotnych Belgów; wzrasta ona ustawicznie ze zwiększającą się ilością towarów „Made in USA” zalegających półki belgijskich sklepów. I w tym tkwi tajemnica, że tak gwałtownie maleje w Europie liczba ludzi, którzy wierzyliby, że panowanie wujaszka Sama u nich w kraju oznacza dobrobyt.

Polityka idzie wiernie w ślad za interesami tych, w imię których Francję czy Włochy rozdzierała fala strajków i w imię których francuski czy włoski student po ukończeniu uniwersytetu walczył bez pracy. Ale, że świadomość społeczna i niezadowolone rosną szybko i dużo szybciej niż możliwości przekonania, że w interesie owoch leży pożarcie jej przez wilka — trzeba organizować wojnę; sens jej wyznacza nie tylko pragnienie podporządkowania całego globu ziemskiego wraz z jego mieszkańcami potętom USA, ale w dużym stopniu chęć odwrócenia uwagi mas pracujących i Ameryki i krajów obojętne Stanom Zjednoczonym podległych od ich właściwego wroga.

Wielu Amerykanów a wśród nich dziennikarz amerykański Johannes Steel zdaje sobie dobrze sprawę, że szantaż i polityka wojny to nie tylko kontynuacja hitlerowskich planów podboju świata. Niemcy wczoraj miały być narzędziem polityki anglo-amerykańskiego kapitału w Europie; Niemcy dziś — chcieliby tego bardzo nowojorscy giełdciarze — mieliby odegrać podobną rolę, gdyby na przeszkodzie odczyściwa nie stał ciągle wzrastający w siłę ruch robotniczy i gdyby wzór reform społecznych przeprowadzony na terenach obecnej Niemiec Republiki Demokratycznej nie zarażał mas niemieckich żyjących pod panowaniem anglo-amerykanów.

Właśnie o tym pisze odważny publicysta Johannes Steel w zbiorze artykułów wydanych p.t. „Polityka USA w oczach Amerykanina”; beztosnie demaskuje on oblicze obecnych wielkocząłków USA; jest to widomy dowód, że opinia publiczna społeczeństwa amerykańskiego mimo tub propagandowych Hearsta czy Mc Cormicka nie jest bynajmniej jednolita i w całości nie aprobuje odbudowy Zagłębia Ruhry — militarnej bazy Niemiec, które było dotąd i gospodarczym i politycznym źródłem niemieckich agresji, ani nie aprobuje paktu atlantyckiego ani berlińskiej hecy. Steel demaskuje wojennych podżegaczy cytując ich własne słowa. John O'Donnell napisał w waszyngtońskim „Times Herald”, 31 marca 1948: „...teraz zająć się musimy sprawami wojskowymi w Niemczech. Pomimo zaprzeczeń ze strony pewnych kół, opracowane zostały już plany do powołania do życia niemieckich wojskowych niemieckich dywizji pancernych i SS...”.

Niemcy zawsze dobrzy żołnierze, chętniej będą walczyć przeciwko swym historycznym wrogom, Mongołom-Słowianom wschodniej Europy, niż przeciwko pokrewnemu narodowi zachodu: Skandynawom, Brytyjczykom, Amerykanom i Francuzom... Wiele lat temu zwracał uwagę, że Roosevelt postawił na złego konia w tej wojnie — że lepiej, żeby kontynent europejski — jeśli chodzi o interesy Ameryki — znalazł się pod panowaniem niemieckim, niż pod panowaniem Stalina”.

Tymi oto środkami urabiają gazetowe monopole amerykańskie naród, na opór który nie idą na faszyzację kraju czekając procesy i więzienia. Mimo to Steel w artykułach swo-



A. Wartanow — Dzieciarnia Wiejska

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

APOLOGECI CZANG-KAI-SZKA

Reakcyjny galop Tygodnika Powszechnego — zwykle zanosi go na manowce. Rozwój wypadków coraz częściej demaskuje właściwe oblicze organu Kurii — Krakowskiej. Czy np. Tygodnik Powszechny osmielił się dziś w chwili radośnego zwycięstwa sił ludowych w Chinach drukować apologię skompromitowanego Czang-Kai-Szka.

A jednak w niedalekiej przeszłości pozwalał sobie na bezkrytyczne zachwyty nad osobą kuomintangowskiego zbrodniarza wojennego.

Być może dziś ten numer Tygodnika — redakcja schowała pod ewangeliczny korzec. Pomóżmy więc jej odszukać.

Oto co pisze p. Strebejko w numerze 18 Tygodnika Powszechnego z dnia 4.5. 1947 r. w artykule p. t. „Mowy Generała”, posługując się wyjątkami z mów Czang-Kai-Szka (którego z uniżeniem tytułuje generalisimusem) drapując go w togi wielkiego humanisty obrońcy pokoju, godności ludzkiej i najszczytniejszych wartości moralnych...

„Czang-Kai-Szek jest nie tylko politykiem i wodzem wojska. Jest on również głębokim moralistą i intelektualistą wysokiej klasy... Czang-Kai-Szek jest też chrześcijaninem, protestantem.

W jakiej więc mierze można go uważać za reprezentanta narodu chińskiego, który w większości swej nie jest chrześcijańskim? Starałem się już powyżej wykazać, iż przywódca narodu musi być też jego przedstawicielem, musi odzwierciedlać i wyrażać nurtujące w szerokich masach tendencje. Pisząc o Czang-Kai-Szku znawcy tematu utrzymują, iż dąży on do utrzymania nie tylko jedności politycznej Chin, lecz również ich kulturalnej integralności, na którą w jego koncepcji składają się mając: konfucjańska tradycja i chrześcijaństwo”.

Publicysta katolicki w kreśleniu postaci politycznego i ideowego adherenta, jednego z najpoważniejszych właścicieli kapitalistycznych przedsiębiorstw na terenie Chin, nie okazuje się nowatorem stosując starą sztukę watykańskiego kamuflażu, która milionowe interesy dolarowe kościół na różnych szlakach świata nazwała i nazywa obroną chrześcijańskiej kultury i wolności człowieka. P. Strebejko pisze na odmianę o obronie kulturalnej integralności, na którą składają się konfucjanizm i chrześcijaństwo. Dochodzi do tego konieczność utrzymania politycznej jedności, która nie może być inaczej rozumiana, jak jedność „demokratycznej” burżuazyjnej w uciskaniu mas pracujących.

Ale czytamy dalej: „W zestawieniu tym nie ma zasadniczej kontradykcji... Zresztą, jeżeli generalisimus inspirowany przez prawdy swej wiary głosi potrzebę nieustannej pracy wewnętrznej i doskonałości się zarówno jednostki jak i narodu, to jest w zgodzie zarówno z Chrystusem jak i z Konfucjuszem kwieciste nauczycielem”.

Ostatni cytat dowodzi, że kwiecistość łączy P. Strebejko na polu „Konfucjuszem, czego wyrazem tak piękne i wnikiwe sformułowanie motywów polityki generalisimusa. Inspirowany przez prawdy swej wiary (jak pisze p. Strebejko) prowadzi generalisimus wojnę z chińską Armią Ludową, wojnę przegrana dla rodzimej i amerykańskiej burżuazji.

I jeszcze dwa zdania dla szarżateryzowania łapczywości i dobrzych apetytów watykańskiego imperializmu: „Poglądy chińskiego wodza i reprezentowane przezeń wartości moralne nie są bez interesu i znaczenia dla tych wszystkich, którzy wyznają i głoszą zasadę chrześcijańskiego uniwersalizmu. Owdzieczone nawyki sprawiają, iż mówiąc o chrześcijaństwie mamy na myśli przede wszystkim Europę, a najwyżej kraje zamieszkałe przez ludzkie rasy białe. Opublikowane przez francuskich benedyktynów i w artykule tym powtórzone wiadomości dowodzą czego innego. Oto najliczniejszy z w masie swej pogański naród świata podany jest samorodnej tendencji, która jest chrześcijańska, a głoszącego ją człowieka uznaje za swego naturalnego przywódcę”.

Oto chiński — watykański bigos, w którym Pius XII, a za nim organ kurii biskupiej chciałby widzieć wolny lud chiński, ostatecznie wyzwalaający się z władzy swych „naturalnych i owdziecznych” kapitalistycznych przywódców.

Władysław Leszczyński

MARCIN FURMANEK

MURZYŃSKIE BAJECZKI

W numerze 40 Tygodnika Powszechnego znajdujemy artykuł p. zms poświęcony zagadnieniom murzyńskim i to nie misyjnym, lecz materialnym. Chodzi o to jak poprawić los Murzynów.

Oczywiście jak przystało na pobojną idealistę pan zms nie szczędzi lez przy przedstawianiu niedoli biednych czarnych ludzi.

Ogólny ton artykułu jest jednak optymistyczny. Nedza murzyńska skończy się. Problem kolonialny został bowiem pomyślnie rozwiązany przez niejakiego księdza Bogandę, co prawda na razie dopiero... na łamach francuskiego „Vie intellectuelle”. Ksiądz Boganda dokonał mianowicie fenomenalnego odkrycia, że „trudności kolonialne”, jak delikatnie nazywa nędzę i wyszys tubylców, sprowadzają się zasadni-

czo do kwestii ekonomicznych. Wyobrażamy sobie jakiegoś murzyńszczyźnie do odkrycia w świecie mgieł mistycznych. Ale cóż to za ekonomia!

Epokowe i naprawdę pionierskie znaczenie mają środki, które ksiądz Boganda zaleca dla poprawy sytuacji. Otóż zdaniem jego chodzi przede wszystkim o to, by każdy czarny „zrozumiał, że większym wysiłkiem może polepszyć swój los”. O co tu chodzi? A no jasne. Murzyni za mało pracują... na plan tatora. Trzeba ich popędzać. Najlepiej to zrobić kler tubylczy. Węć huzia!

Nie dziwny się księdzu Bogandzie natomiast dziwny się pan zms. Czyżby miłosierna pani na prawdę wierzyła, że wystarczy np. trzy razy większego wysiłku fizycz-

nego ze strony Murzyna, by rozwiązać problem jego sytuacji materialnej? Rebus się stantibus?

Jeśli się pisze o zagadnieniach społecznych i ekonomicznych, trzeba ustąpić z mistycznego księżycu na ziemię. Inaczej nie da rady. A najlepiej, zgodnie z tezą miłosiernej pani, nie parać się rzeczami o których się nie ma pojęcia.

Zdaję sobie sprawę z trudności poprawienia położenia Murzynów, pracujących na rzecz kolonistów, ksiądz Boganda wpada na doskonały pomysł. Proponuje Murzynom założenie spółdzielni produkcyjnej. Nie ma co, dobrze pomyślane. Szkoda tylko, że propozycja księdza Bogandy nie ma nóg. W warunkach kapitalistycznych nie da rady, prozę panil Jak sobie pani zms wyobraża realizowanie tego pomysłu? Murzyni wytwarzają przemysł, czy może wykupią go z rąk białych? A może zakłady przemysłowe są im nie potrzebne i wystarczy spółdzielcze uprawianie orzechów ziemnych w rytym gongu bum bum bum?

Ksiądz Boganda marzy: kobieta wa i możliwości rozwoju praca muwa i możliwości rozwoju raca musi być absolutnie wolna! (kolonie nie powinny być źródłem dochodu, tym mniej eksploatacji. Raczej powinny być terenem inwestycji i pomagania ludom stojącym na niższym poziomie.

My też sądzimy, że powinny. Niestety, inaczej sądzić będą do końca sądzić eksploatatorzy kolonialni. Sądzili nawet w Ameryce w ciągu niemal stu lat po formalnym zniesieniu niewolnictwa nie potrafili dobrego biali panowie zrealizować ani jednego z postulatów księdza Bogandy, jakie mamy, miłosierna pani, prawdopodobieństwo, że będzie inaczej w Afryce? Zadne!

Pani zms rozumie przecież, że kulturalny, zamożny, cywilizowany Murzyn powinien być przystosowany „Murzynem” — zwierzęciem robotnym, a staje się człowiekiem. A cóż białym panom z gieldy po Murzynie — człowiekowi w koloniac? Murzyn kulturalny, Murzyn cywilizowany to przecież tragedia dla imperialistów, to koniec kolonii!

Zamiast więc marnować papier i czas (którego podobno tak mało ma pani zms) na bajeczki o doli Murzynów, lepiej żeby miłosierna pani zms zainteresowała się jak sprawa narodów upośledzonych niegdyś przez kapitalizm została rozwiązana w azjatyckich republikach ZSRR.

Zobaczylaby pani i ludzi kulturalnych i mieszkających w zdrowych mieszkaniach i ludzi, których praca jest zupełnie wolna. Zobaczylaby pani jak rozwijają się realne kooperatywy.

Niestety (dla pani zms) będą do republiki socjalistyczne. Pani zaś chce, żeby wszystko odbyło się w sposób transcendentny, metafizyczny-spontaniczny, jako wynik spowiedzi św. wszystkich wyżyskiwaczy.

A że innej drogi nie ma, to (tłumacz sobie) już nie jego wina i uspakaja się.

A Murzyn zostaje Murzynem.

Leszek Goliński

OJCIEC PIERWSZEJ REPUBLIKI

Dokończenie ze str. 11

Revolucja, jaka wybuchła w Niemczech bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, wzbudziła w całym narodzie, wyjąwszy wielkich przemysłowców i narodowców, duże nadzieje.

Ale „Revolucję czyni się w Niemczech z góry” — skarżył się Henryk Mann, widząc jak samorutynny zryw klasy robotniczej i zdemobilizowanego wojska skierowany został z premedytacją na wąskie tory legalizmu i reformizmu przez „działaczy robotniczych” w rodzaju Fischera.

Revolucja niemiecka rychło zagasiła w morzu gadaniny i reform oraz w krwi mordowanych komunistów przez oddziały „socjaldemokratów”. Henryk Mann szybko dostrzegł, że ustawy konstytucyjne nie są przestrzegane. Szybko dostrzegł cienie, skradające się chyłkiem, aby władzę w republiki niemieckiej uchwycić w swoje ręce. Alarmuje więc dalej. Dalej ostrzega. Pisze, przemawia, przekonuje: „Wolność myśli znowu staje się problemem. Już dzisiaj niektóre poglądy są skądś się sądownie. Konstytucja zezwala na nie, ich polityczni przedstawiciele zasiadają w parlamentach, ich zwolennicy w kraju nie mogą jednak ani swych poglądów wyrazić, ani ich reprezentować bez obawy uwięzienia. Pytanie, czy mieszczańskie pojęcie wolności jest jeszcze aktualne, w praktyce przestało być istotne. Brakuje jeszcze tylko wyraźnego zezwolenia władz oficjalnych na wprowadzenie faszyzmu”.

Henryk Mann, piętnuje ustawicznie nawroty reakcji w Niemczech. Nie wystarczy jednak jego protesty. Nie pomogą największe głosy oburzenia. Jeszcze gonią za nim śpiewy bojówek nazistowskich, świętujących swój triumf, jeszcze ściągają go oszczercze nawoływania radia niemieckiego, a on już zaczyna organizować opór demokratów niemieckich poza granicami swojej ojczyzny.

W pierwszych dniach po klęsce Niemiec hitlerowskich zwraca się

Mann w „Słowie do Berlina” do Niemców:

„...musicie zrobić rewolucję. Lud, który zdobył własny kraj i go uwolnił, nie potrzebuje obcych wojsk. Wolny naród nie chce poglądać innych narodów”.

Nie poznalibyśmy rewolucyjnych przekonań Henryka Manna, nie naswietliwszy jego stosunku do Związku Radzieckiego. Henryk Mann nie był komunistą. Daleko mu było do marksistowskiego pojowania dziejów. Pomimo to całą duszą stał zawsze po stronie postępu, wierzył w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości społecznej i dziejowej. Przebywając już w dalekiej i słonecznej Kalifornii, z zapartym oddechem śledził postępy Armii Radzieckiej na froncie wschodnim. „Armia Radziecka — pisał — to robotnicy i chłopcy, którzy pozostają robotnikami i chłopami także w mundurach. Nie żąda się od nich, aby zapomnieli swego pochodzenia socjalnego z chwilą, gdy stali się żołnierzami. Nie przysięgają wierności interesom innych ludzi, gdy raz już przysięgli wierność swojemu krajowi. Państwo — to oni”.

„Sympatia dla Związku Radzieckiego w Niemczech była szeroko rozpowszechniona — pisał w innym miejscu — zrozumienie dla rewolucji, żądza, aby zbliżyć się i zrozumieć największe wydarzenie wieku ogarniała nie tylko komunistów”.

Widział w Związku Radzieckim świat, który nastąpi: za śmiertelne schorzenie epoki uważał antykomunizm. „Związek Radziecki kochem pełną miłością — mówił wprost — On jest mi bliski, a ja jemu. On czyta mnie masowo, a ja patrzę na niego, jak gdyby był już światem przyszłości, który mnie poznał”. Pochodziła ze słowa z ostatniego okresu: dopiero bowiem po doświadczeniach drugiej wojny światowej nastąpiła w Henryku Mannie przemiana z przyjaciela Wielkiej Rewolucji Francuskiej w przyjaciela Związku Radzieckiego.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 23 i 76. Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7. Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5.

B-90757